



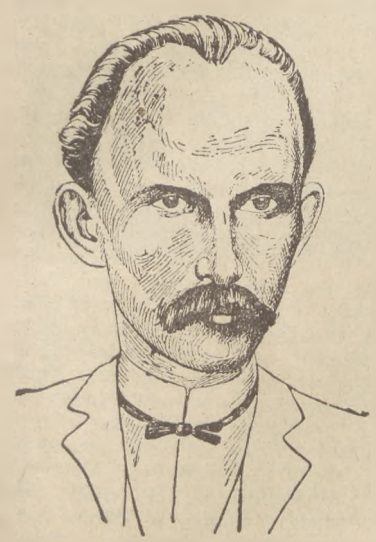
NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron Warszawa, 7 lutego 1954 r. Nr 6 (202) Rok V

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Jose Martí



Jose Martí

Wzrastający w ciągu drugiej połowy dziewiętnastego wieku imperializm Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej przeszedł do fazy, która była ojczyzną José Martí — na dziejach Kuby.

Wyspa ta — jak i inne wyspy archipelagu Antylskiego nie wyzwoliła się spod jarzma hiszpańskiego w epoce wielkich walk wyzwoleniczych całego kontynentu. Władza Hiszpanów rozciągała się na tę wyspę przez cały prawie ubiegły wiek. Wiek ten był jednym pasmem krwawych wojen — dla mieszkańców tego bogostawianego zdawałoby się zakątek, tej „lili szkarłatnej” jak nazywa Kubę Pablo Neruda, tej wyspy trzciny cukrowej i plantacji tytoniu, gdzie zniesienie niewolnictwa nastąpiło dopiero w roku 1880.

Patrioci kubańscy toczyli wieczne walki pragnąc wyzwolić się spod władzy hiszpańskiego rządu, który niezmennie prześladował kubańczyków i wszelkie ich wolnościowe odzyski — czy był to rząd hiszpański królewski, czy też hiszpańska republika burżuazyjna. Między rokiem 1868 a 1875 w „macierzystej” Hiszpanii deklamowano demokrację, a w koloniach takich, jak Kuba, budowano więzienia i rozstrzeliwano za najmniejsze wrośnięcia.

W dziejach tych walk kubańskich, dramatycznych, zmiennych, czasami powściągliwie romantycznych, a czasami okrutnie krwawych, odznaczył się pewien niezwykle człowiek, którego imię czcimy dzisiaj i którego setną rocznicę urodzin postanowiła w roku zeszłym obchodzić Światowa Rada Pokoju. Był to pierwszy człowiek, który zrozumiał jakim niebezpieczeństwem dla Kuby jest „bezinteresowna pomoc” ze strony Ameryki Północnej. Był to jednocześnie człowiek, który pierwszy zrozumiał, iż całkowite wyzwolenie Kuby można oprzeć tylko na wyzwoleniu społecznym jej warstw pracujących i w potworny sposób od wielu setek lat wyzyskiwanych.

lityczne na Kubie. Ma wtedy lat osiemnaście!

W Hiszpanii otwiera się przed młodym Martí możliwość studiowania na uniwersytetach. Uczy się w Madrycie i w Saragossie, gdzie uzyskuje doktoraty prawa, filozofii i nauk humanistycznych. Nawet gdybyśmy skonstatowali, że poziom nauk w tych czasach był niski, a egzamina łatwe, to jednak poziom wykształcenia młodocianego rewolucjonisty może nas prawdziwie zadziwić.

Mając lat dwadzieścia jeden przenosi się Martí do Meksyku, gdzie wstawia swój cieszący się powodzeniem dramat „Za miłość płaci się miłością”. Utwory dramatyczne Martíego do dziś dnia uważane są za klasyczne, bezbłędne w swojej kompozycji i zawsze niezmiennie interesujące pod względem problematyki.

Z Meksyku w swojej tułaczce Martí przenosi się do Guatemali. Jest tam profesorem filozofii i literatury francuskiej. Owa tułaczka po ziemiach całego łacińskiego kontynentu — a Martí nie zadowalał się siedzeniem w stolicach krajów, w których mieszkał — pozwala mu szczegółowo zaznajomić się z ludnością tych ziem. W swoich prelekcjach, pracach literackich, dziennikarskich styka się Martí z tysiącami najrozmaitszych ludzi pracy, robotnikami, chłopami, kolonistami i inteligencją pracującą. Te liczne lata wędrówek dają mu tę znajomość człowieka, która jest jego siłą. Dają mu możliwość poznania nędzy ludności pracującej Ameryki Łacińskiej i pokazują mu drogi, jakie prowadzą do serca tych wszystkich prostych ludzi.

Wreszcie po końcu „wojny dzieściolnej”, strasznej walki o niepodległość Kuby, która zakończyła się ostatecznym wycieńczeniem sił fizycznych i ekonomicznych ludności nieszczęśliwej wyspy oraz propozycją Stanów Zjednoczonych, skierowaną do Hiszpanii nabycia całej Kuby za 100 milionów pesów — nastąpiła amnestia. Martí powraca do ojczyzny.

Ale jego gorączkowa działalność w ojczyźnie nie miała trwać długo. W rok po przybyciu Martí jest już ponownie aresztowany przez władze i znowu zesłany do Hiszpanii. Tym razem jednak Martí natychmiast ucieka z metropolii i przez Paryż udaje się do Nowego Jorku. Stany Zjednoczone Ameryki stają się teraz terenem jego działalności. Tutaj pisze, redaguje pisma, między innymi uroczyste pismo dla dzieci które nazywa „Złoty Wiekiem” — pisze swoje krytyki literackie, muzyczne, plastyczne. Jest jednym z odkrywców Walta Whitmana, jednym z pierwszych entuzjastów impresjonizmu francuskiego w malarstwie, odkrywcą Puszkina dla Południowej Ameryki. Piszze swoje dramaty i opowiadania. W powieściach swoich staje się wybitnym przedstawicielem szkoły psychologicznej.

Juan Marinello — współczesny działacz kubański — tak powiada o Martíu, jako o pisarzu: „Pióro było dla niego środkiem zarobkowania, ale nigdy nie poniżył się do napisania choćby jednego wiersza, który by nie był godny wysokiego pojęcia jakie miał o swoim zawodzie pisarskim. Czystość i przejrzystość jego stylu czynią go jednym z najklasyczniejszych, mo-

że nawet najbardziej klasycznym pisarzem Ameryki Łacińskiej XIX wieku”.

Zajmując się tyloma sprawami, pisząc na najróżnorodniejsze tematy, Martí nie był nigdy „tyletatem”. Dziś myśl moja cała zajęta jednym prawdziwym kłopotem: bo w niewolnictwie człowieka największa jest troska światła!

Był znakomitym pisarzem, ale z przenikliwością, która pozwalała mu na stwarzanie żywych psychologicznie ludzi w swoich utworach literackich, widział także zagadnienia polityczne. Był jednym z najtrzeźwiej myślących polityków Ameryki Południowej swoich czasów. Na lata bezpośrednio poprzedzające wybuch wojny niepodległościowej przypada najgorętsza, gorączkowa praca Martíego, zmierzająca do wywołania powstania. Przemierza on wtedy najrozmaitsze państwa, najrozmaitsze miasta Ameryki środkowej i południowej; to jest w Haiti, to na Jamajce, to w Panamie. Przemierza także najrozmaitsze Stany Ameryki Północnej, szukając kontaktów z tymi, którzy go nigdy nie zawiedli — z robotnikami na plantacjach, wychodźcami z Kuby, którzy swoje ciężko zapracowane grosze oddają na cele wojskowe. Towarzyszy Martiemu generał — mulat Gomez. Latami zbierają Martíemu na tych gorączkowych przygotowaniach. Z jego inicjatywy powstaje Rewolucyjna Partia Kubańska, której jest pierwszym kierownikiem — delegado. Partii tej zakreśla daleko szersze pole działania aniżeli walka o niepodległość Kuby. „Na Kubie walczymy — powiada — nie tylko o dobro naszej wyspy... wal-

czymy aby wraz z naszą niepodległością zabezpieczyć niepodległość całej Ameryki Hiszpańskiej...”

Nawiązuje kontakt z kubańczykami, organizuje skarb narodowy, zakupuje broń, przystępuje do zorganizowania przemytu materiału wojennego na Kubę. Zakłada wszędzie komórki partyjne. Zapomina o swojej działalności literackiej, o swoim życiu osobistym, o ukochanej żonie, którą wywiózł z Guatemali i o jedynaku synie. W jednym ze swoich „Prostych Wierszy” tak mówi:

Kłopot? Kto śmie rzecz mi, że mam troski? Potem, potem, po ostatnim wystrzale, ostatnim pożarze, będę miał czas na własne kłopoty.

Dziś myśl moja cała zajęta jednym prawdziwym kłopotem: bo w niewolnictwie człowieka największa jest troska światła!

Nareszcie w styczniu roku 1895 pada rozkaz powstania. Martí, generał Gomez i inni ich towarzysze jadą, zrazu na wyspę San Domingo. Tam Martí wdaje swoją słynną odezwę do rodaków, zwaną Manifestem z Montecristi. Na wyspie tworzą się oddziały wojskowe, 11 marca Martí z Gomezem lądują na Kubie.

Dnia 19 maja tegoż roku w potyczce stoczonej obok obozu wojsk powstańczych w miejscowości Dos Rios, Martí nie chcąc się wycofać z walki — stosownie do rozkazu generała Gomeza — ginie zastrzelony przez Hiszpanów. Nie ocalił go list ukochanej Marii noszony zamiast panczerza na sercu. Pochowany został w Santiago de Cuba przez wrogów — wrogowie oddali mu żół-

nierskie honory. Jeszcze w tamtych czasach panowały rycerskie obyczaje...

W dniu ogłoszenia Manifestu z Montecristi Martí pisał do matki: „Matko moja, dzisiaj 25 marca, i w długiej podróży myślałem o tobie. Bez przerwy myślę o tobie. Skarżysz się, w gniewie miłości, na ofiarę mojego życia. Ale przecież z ciebie narodziłem się z taką miłością ofiary. Nie znoszę pustych słów. Powinnością człowieka jest znajdować się tam, gdzie jest najpożyteczniejszy... A jednak rośnie we mnie i rosnąć będzie do śmierci myśl o mojej matce... ..A teraz pobłogosław mi i wierz mi, że z mego serca zawsze wyrastają dzieła pełne oddania i przejrzystości...”

Taki był koniec tego niezwykłego, spalającego się w ogniu czynu i miłości człowieka. Losy jego ojczyzny są znane. Powstanie wspierane przez Amerykanów przerodziło się w trzy lata potem w wojnę hiszpańsko - amerykańską. Kuba weszła z tej wojny „niepodległa”. Ale była to niestety „niepodległość” w cudzysłowie. Dzisiaj jej najlepszy synowie, tak samo jak Martí, są na wygnaniu i z daleka opiewają piękno ojczyzny i walkę jej najlepszych synów o prawdziwą wolność i prawdziwą niepodległość.

Martí był nie tylko przewidującym politykiem, był także wielkim pisarzem. On jeden z niewielu w swojej epoce zdawał sobie sprawę, jaką rolę może odegrać pisarz w walce o wyzwolenie człowieka.

To Martí powiedział w końcu zeszłego stulecia te słowa, które nie-

(Dokończenie na str. 2)

EDWARD SZYMAŃSKI CURRICULUM VITAE

Przemierzyłem cię całą, przemieszkając cię na dnie oceanu w twoich fabrykach dymie. Tupot nóg robotniczych wołał tętnem gromadnym wspólnie życia naszego imię.

Z rana od gwizdu syren huczały dni w gorące w tysiąc młotów po sekund blachach, za kominem Ursusa wstawało obce słońce, zachodziło za komin Gerlacha.

Srebrnym rublem księżycy wieczór za oknem dyndał, jak podwyżka ojcowego zronu. W mrok charczący sen nocą zwoził sprawnie, jak winda, wszystkich chłopów z fabrycznego domu.

Było takie podwórce tuż pod ścianą przedziałni, komórka, nad komórką sadza, dom — jak sztandar, czerwony, dach — jak sztandar, czarny — rosnąć nikt nie przeszkadzał.

Za późno drzwi szwajcarni przyszedł mi otwierać dzień-poganiacz o rękach pilnych. Czeladnik w hali idej robię pofajerant papier — warsztat, a pióro — pilnik. Nauczyłaś mnie Wolo spojrzeć przez dym najprostszych, słyszeń czujnych, jak idzie robota. Dla ciebie słowa moje chcę jak noże naostrzyć i położyć przy twoich młotach.

Lewy Tor, 1953 nr 3 (marzec)

P R A C A STEFANOWI ŻEROMSKIEMU w ósmą rocznicę zgonu

Może nas nigdy nie było, może nas wcale nie ma. Jest tylko wielka miłość i chlebna, szeroka ziemia.

Nad nami, w niebie niebieskiem ktoś jasne słońce zapalił. Przez drogi wiejskie i miejskie przejdziemy cisi i mali.

Przeminał nasze imiona w dniach nowych, jasnych i ciemnych. Młodsze, silniejsze ramiona podejmą trud nasz codzienny.

Może zawilej, lub prościej, z ziemi, jak z książki dla małych, ktoś będzie uczył miłości, piękna, i prawdy w walce.

I tylko po nas zostanie coś, co się zawsze powraca: wielkie, największe kochanie, i prosta, najprostsza praca.

Z tomu „Słońce na szynach”, 1937.

Dobrze, żeś wtedy umarł. Pięknie pochowali, a żal po tobie nieśli wysoko, jak monstrancję — przy pochodniach — z orkiestrą — w gali — krepą zasłonili latarnie — — — czarne konie parskaly dziarsko, gdy cię wieźli Wolską — — — ciężko trząsł się karawan na tępych końskich łbach — a na Młynarskiej w cukierkowni był strajk — — — a wieczorem pod murem, jak złodziej, przemyskał na demonstrację syn twój — Cezary Baryka.

Dobrze, że dziś nad oczu zgasiłem ogniem powiek ciężkich, jak ziemia, nie zdołasz nagle podnieść. Że ci na grób, na trumnę, na parkiety szpadli na czoło, na usta dumne tyle piachu, piachu nakładli...

Śnij dalej sen popiołów o szpadzie i potędzie. Już ci pięści spróchniały i oczu nie przetrzesz. Dziś całą naszą straszną, śmiesznią polską nędzę — gdybyś wstał — to byś wstydem i buntem podbił i razem z sobą, z nami wysadził w powietrze!

W polską nie-wolę z niewoli ruskiej w domach kamiennych, nie szklanych, pięścią i sercem, sercem i mózgiem bijemy, bijemy w ściany”).

Jakże nam się nauczyli milczeć i kark giąć coraz już niżej i podłej, gdy dają nam śmierć darmo, a życie za grosz i pięść w godle?

Na murze pragnień naszych siadł szkielet beznamiętny, zimnymi dłońmi lęku szyje nasze chłodzi. Słońce nam gęsto, gęsto zakryły w celach dni kraty godzin.

Skończyło się przedwiośnie. Och, boli przed brzuchą słów twych — błyskawice daremność. Idzie wiatr — nie od morza, i pachnie — nie różą. Krew czuć. Duszą i ciemno.

Nie wstawaj! Już nie trzeba ran jątrzyć do trzew. Już pamiętać nie warto, że ty byś się nie bał, że ty byś się, jak rekrut, przed butem nie przeżył — śmierć, strach i gniew o przyszłość rozpoczęły grę... Nie wstawaj! Strach zwyciężył!

Z tomu „Do mieszkańców Marsa”, 1933

*) Fragment od „Śnij dalej...” po „bijemy w ściany” skonfiskowany przez cenzurę sanacyjną.

CZERWONE I CZARNE

Tani czarny atrament pisze słowa powszednie, pisze słowa niezdarne, rozmazuje się, błędnie.

Zwolna, ciężko piług pióra przeorywa milczenie — spięwa z dłoni na kartkę to radość, to cierpienie.

Na jałowym papierze rzuca siejbę swą czarną: między grządką literek drobne kropki, jak ziarno.

Wzbiera życie w wyrazach, szumi szelest na kartce, kwitną zdania, jak żyto żywotne i uparte.

Rosną, rosną do oczu słowa ciężkie, jak kłosa, aż je cenzor ołówkiem, jak żniwiarką wyłosi.

Wschodzi słowo w milczeniu. Ale krzykiem rozpacz nie na kartce — na bruku — i nie czarno się znaczy.

Nie spod ostrza stalówki redlinami wyrasta, Lecz spod kul i bagnatów leci w ulice miasta.

Skrzydła od kul ma prędsze, od kul większą donośność, nad huk strzałów, nad dzwony woła śmiało i głośno.

Mowa jego świąteczna, mowa jego powszednia zrozumią dla wszystkich od Madrytu do Wiednia.

Czego deszcz nie obmyje, co nie wyschnie na słońcu — dopowiedzą kamienie, na ulicach milczące.

I wyrasta na żniwo ciężki posiew czerwony rozśpiewanym ogrodem, hojnie krwią użyźnionym.

Z tomu „Słońce na szynach”

24 książkę p.t.: Więzienie Po-

Kronika Tygodnia

Zabobon rodzi się z lęku przed jasnością myślenia. Potwierdzają tę starą prawdę komentarze niektórych agencji burżuazyjnych na temat konferencji w Berlinie. Wyślanicy owych agencji dopatrują się w polityce rządu radzieckiego czarodziejskich kruczków i nadprzyrodzonych mocy, prawdopodobnie dlatego, że jest ta polityka zrozumiała i bliska dla milionów ludzi.

Od przesądu niedaleko do wieszczenia. Obserwatorzy zachodni bawią się w prorocтва i zgadywanki co do dalszego przebiegu obrad, ale obcy im jest dar przewidywania, wynikający ze znajomości historii. Zaskoczyły ich więc propozycje ministra Molotowa w sprawie zwolnienia konferencji rozbrojeniowej i nawiązania wymiany handlowej między obozem socjalizmu a krajami kapitalistycznymi. Zaniepokoił ich również przyjazd delegacji brytyjskich przemysłowców do Moskwy właśnie w okresie trwania berlińskiej konferencji.

Prasa burżuazyjna gubi się w domysłach, a przecież Lenin dawno temu przewidział sytuację (znamy podobne z przeszłości), w której państwa kapitalistyczne zmuszone będą, w obliczu naddciągającego kryzysu, nawiązać kontakty handlowe ze światem socjalizmu.

Są oczywiście w Nowym Jorku i Waszyngtonie ulice, gdzie każda myśl o możliwości pokojowego współzawodnictwa między dwoma systemami, wywołuje niepokój i zamęt; smutne ulice wielkich banków i biur, gdzie każda wieść, pomyślna dla ludzkości, uchodzi za wieść hłobową, a wzrost nadziei powoduje spadek papierów wartościowych. Z dzienników, ukazujących się na tych ulicach, bije ostatnimi czasy lęk... przed czym? Zgadnijcie. Może przed latającymi talerzykami, które maniakom wojny zdarza się oglądać w ich halucynacjach? Bynajmniej. Lęk, który prasie amerykańskiej

spędza dzisiaj sen z powiek, jest lękiem przed pełnymi talerzami na stołach naszych robotników... Wzrost dobrobytu mas pracujących w Związku Radzieckim i krajach demokracji ludowej — oto w czym imperializm upatruje obecnie największe dla siebie niebezpieczeństwo.

W referacie, wygłoszonym na Akademii Leninowskiej w Moskwie tow. Pospielow przytoczył głos amerykańskiego czasopisma „Reporter”, które obawia się ze strony Związku Radzieckiego bynajmniej nie ataku zbrojnego, którego wizją propagandą USA szantażuje zwykle podatników, ale tego, że „Rosja morfaby wykorzysta część zwiększonej produkcji do wytwarzania towarów konsumpcyjnych w celu naruszenia równowagi Europy zachodniej już wskutek samej tylko atrakcyjności swego przykładu”.

Cytując zdanie innego amerykańskiego pisma „Journal of Commerce” uważającego, że kraje zachodnio-europejskie powinny rywalizować ze Związkiem Radzieckim „w tym wysiłku o podniesienie stopy życiowej”, Pospielow powiedział:

„Czy można zapytać: a cóż w tym złego, jeżeli zamiast wysiłku zbrojeń, który odbywa się w krajach kapitalistycznych, rozpocznie się pokojowa rywalizacja ekonomiczna o podniesienie stopy życiowej? Czyż narody będą oponowały przeciwko takiemu „wysiłkowi o podniesienie stopy życiowej?”.

Nie, narody nie zaoponują przeciwko takiemu wysiłkowi. Niech współzawodniczą z nami i anowie z posępnych ulic w budowaniu wesołych miast. Niech ścigają się z nami we wznoszeniu jasnych szkół, słonecznych osiedli mieszkaniowych, promiennych placów i alej. Niech spróbują nas dogonić w pochodzie ku szczęściu człowieka.

Taki wysiłek podejmiemy bez obawy. A oni?

Krzysztof Gruszczyński

SPRAWY WYDAWNICZE

W poczekalni „Czytelnika“

Mowa tu nie o poczekalni redaktora naczelnego i nie o biurze wydawniczej. Użytkować rozmowę z kierownikami „Czytelnika” jest stosunkowo łatwe — na to się autorzy nie skarżą. Trudniej natomiast, o wiele trudniej uzyskać wydanie książki, chyba że się jest współczesnym autorem nowej polskiej książki, najchętniej na tematy współczesne. Taki szczęściwiec nie czeka w kolejce — wybiega mu na spotkanie do naszej umownej poczekalni wydawniczej wszyscy wiecy „Czytelnika”, zapraszają do gabineu, podsuwają umowę do podpisu. W poczekalni natomiast zostają — nieraz długie lata — często od jubileuszu do jubileuszu — autorzy książek zasługujących na wznowienie, książek poszukiwanych na rynku — i to nie tylko klasyków — ale nawet autorów współczesnych. Niech się tylko rozejdą szeroko wieść o nowej dobrej książce — polskiej lub tłumaczonej — o jakiejś starannej edycji, o odczonym albumie w masowym nawet nakładzie — biegnij czytelniku, co prędzej do księgarni, by kupić książkę w pierwszym wydaniu. Na dalsze czekać będziesz długie nieraz lata i entuzjazm bibliofila zamieni się w postrach-widmo wszystkich pracowników księgarskich, zadreżanych pytaniami: Zerowski? — wy-czerpany, „Cichy Don”? — „Jak harlowała się stał”? — rozprzeczane, „Pamiętka z Celulozy”? — w druku, Galsworthy? Mann? Flaubert? — rozchwythane, zabrakło.

Czy można wydawać książki najbardziej poszukiwane tak często i w takich nakładach, żeby ich nie zabrało w księgarniach? Każdy rok przynosi coraz to nowe setki książek, które w latach następnych zasilają na wznowienie. Przyrosnących wymaganiami kulturalnych naszego czytelnika coraz jaskrawiej biją w oczy dotkliwe braki wznowień książek zapomnianych z dawnej i niedawnej naszej przeszłości, brak nowych krytycznych wydań klasyków literatury polskiej, rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej, niemieckiej. Niewątpliwie wykazywany brak nawet w przekładach z literatury Chin, Japonii, Indii. W jakiej mierze może wydawca odpowiadać za książki niewydane, za przepiękną poczekalną wydawniczą?

Szukam na to odpowiedzi w planie „Czytelnika” na rok 1954, planie 8 milionów egzemplarzy, ponad 1,5 mln. opracowań, 357 tytułów. Plan ogromny — wynik szybkiego wzrostu produkcji ostatnich lat — zapewnia przede wszystkim wydanie

nowych książek współczesnych autorów polskich: 63 tytuły w r. 1954, z czego 33 powieści, 18 tomików poezji, 8 satyry. Debiutuje w roku bieżącym sześćdziesiąt prozaików — J. Dębnicki, J. Jaziewicz, M. Łęczyńska, B. Szufkowska, J. Szczepański („Portki Odysa”), powieść współczesna, zdaniem wydawców bardzo interesująca) i J. Ziolkowski.

Z innych nowości powieściowych ukażą się „Obywatele” K. Brandysa, „Władza” Konwickiego, tomikiów i nowa powieść Macha, tom opowiadań Mazurów i o Mazurach, powieść Zaleskiego oraz nowe wydoby pism Boguszewskiej, Iwaszkewicza i Nalkowskiej. W poezji znajdują zapowiedź I tomu Dzieł Tuwima, które obok pełnego wydania poezji przyniosą wszystkie przekłady poetyckie, satyry, listy i publicystykę. (Państwowy Instytut Wydawniczy przygotowuje ponadto pełne wielotomowe wydanie przekładów Tuwima — poetyckich i prozatorskich).

63 nowe książki współczesnych autorów polskich stanowią 30 proc. pierwszych wydań „Czytelnika” w ogóle. W pozostałych działach redakcyjnych pierwszych wydań jest już więc stosunkowo niewiele. Przy 22 tomach zapowiedzianych nowych opracowań klasyków polskich niepokój budzi nowa zwłoka w zakończeniu Wydania Narodowego Mickiewicza. Komitet pod redakcją prof. Płoszewskiego nie przewiduje na rok 1954 zakończenia tomu XII (Trybuna Ludów!!!) i XVI. Czy rzeczywiście nie można przyspieszyć prac redakcyjnych? Apelować by tu należało o pomoc dla Komitetu do Ministra Kultury i Sztuki, któremu KRN powierzyła 10 lat temu nadzór nad wykonaniem tego ważnego zadania. Opóźnienie, które dotychczas było niedopuszczalną zwłoką, w roku 1954 staje się skandalem. W pięć lat po pełnym wydaniu Słowackiego, w roku naszego dziesięciolecia i w obliczu Mickiewiczowskiej rocznicy — nie ma nadziei na zakończenie pełnego wydania Mickiewicza!

Jeżeli jeszcze pozostałe pierwsze wydania rozkładają się na każdą z redakcji przekładów 7 (CSR) — 18 (ZSR) tomami — to w dziale wznowień jest już ciemnota niestychała! Jeśli nie liczyć biblioteki prasy (32 tomy), to pozostałych wznowień planuje „Czytelnik” na cały rok 113, z czego na literaturę współczesną polską aż 27 na klasyków 25, na dziecięcą i młodzieżową — 19. Na przekłady została znikoma ilość 8 wznowień radzieckich i po 1 — 3 wznowień na literaturę

innych krajów. A przecież „Dom Książki” blaga co tydzień niemal o setki wznowień, saccia zauważył, że „Czytelnik” o podwyższenie ich nakładów. Jest tylko jedno bzuurze zastrzeżenie, — „Dom Książki” zamawia wznowienia... kosztem nowości, pierwszych wydań, przy których boi się „ryzyka”. A więc jeszcze 40.000 egz. „Syzyfowych prac”, ale o te 40.000 egz. mniej nowych książek Macha, czy Konwickiego... Na to się „Czytelnik” oczywiście nie zgadza i „Dom Książki” pozbawiony zostaje milionów niezbędnych książek. Wszystko się ładnie mieści w ramach planu sprzedaży „Domu Książki”, którego nie chce się zwiększyć nawet dla otrzymania dodatkowych dostaw najbardziej poszukiwanych arcydzieł literatury!

Listę „normalnych” wznowień, przeznaczonych dla sprzedaży księgarskiej zauważają jeszcze cenne serie wznowień o przeznaczonym specjalnym. Tak więc obok popularnej Biblioteki Prasy, w której sprzedaje się rocznie około 10 mln. egzemplarzy książek po 240 zł, ukaże się w „Czytelniku” 15 książek „Nowego Czytelnika” drukowanych największą czcionką oraz 8 tomów nowej międzywydawniczej masowej „Złotej Biblioteki” popularnych powieści polskich i tłumaczonej. Trudno zrozumieć kryteria doboru, skoro „Czytelnik” włącza do tej serii z literatury współczesnej polskiej Bocheńskiego, Jackiewicza i Żuławskiego („Rzeka czerwona”), z klasyków polskich „Martę” Orzeszkowej, z literatury radzieckiej — Wołoszyna „Ziemie Kuźniecką” i Panowej „Jasny brzeg”, a z literatury zachodniej Fasta — „Ostatnią granicę” i „Eugenie Grandet” Balzaka. No, ale w sumie 8 książek starannie wydanych, drukowanych na dobrym papierze dużą czcionką z ilustracjami, w dużym nakładzie może wiele pomóc w kolportażu książki na wsie jeśli tylko... dotrze tam zgodnie z przeznaczeniem. Istnieje bowiem niedopuszczalna praktyka ogalacania sklepów gminnych spółdzielni z atrakcyjnych książek dla dzieci i beletrystyki specjalnie dla wsi wydanych na rzecz księgarń miejskich o ile łatwiejszych w obsłudze i zapewniających szybki obrót „Czytelnik” ma tu przykre doświadczenie — Biblioteka Nowego Czytelnika i Biblioteka Światłocowa grzęzną z reguły w mieście.

A więc jest pierwszy „winowajca” natłoku w poczekalni wydawniczej „Czytelnika” — „Dom Książki”. Ale załóżmy, że ta trudność została pokonana, że „Dom Książki” zgodził się na dostawy dalszych

tal Goethego, teraz nie ma na to czasu...

Analiza wystaw księgarskich, wędrownia po księgarniach, mówią o olbrzymiej przewadze pamiętników i wspominków specjalnego typu. Dominują tu Eisenhower, Rommel, Kesselring, Schacht, Guderian, von Papen. Oto refleksje Kierhardta na temat książki von Papena: „Z pamiętników twch można się dowiedzieć, jak to ten poczwierciec jako wicekanclerz i poseł Hitlera w Wiedniu dawał nieszczerstym hitlerowcom szkole, Pan von Papen poucza nas, że właściwie źródłem niemieckiego ruchu oporu był berliński Klub Panów, w którym przy dobrym winie gawędziło się o polityce. Jeden z jego członków zaopatrywał kiedyś, kto jest panem, odpowiadał: „Pojęcie pana to kwestia indywidualności; tylko ona rozstrzyga, czy panem jest robotnik, czy też hrabia”. Święte słowa! Zowne właśnie dlatego tylu robotników należało do Klubu Panów. Pan Papen nie może zrozumieć, jak Anglia, kołębka wszystkich feudalnych klubów, mogła się w swoim czasie dać wyprowadzić w pole przez komunistów i socjalistów. Na szczęście należyła do przeszłości. Niech żyje Klub Panów, który finansował Hitlera i drugą wojnę światową!”

Książki pisarzy z prawdziwego zdarzenia mają w Zachodnich Niemczech minimalne nakłady i są tak drogie, że ani inteligent pracujący, ani robotnik nabyć ich nie mogą. Nakłady powyżej 5 tysięcy należą do rzadkości. Wyjątek stanowi tanie wydawnictwa Rowohlta i Fischera, które wypuszczają na rynek utwory wartościowe.

Na zakończenie Kipphardt przytacza następującą rozmowę z jednym z księgarzy:

— Czy ma pan na składzie książki Barbusse, Rollanda, Gorkiego, Andersena Nexö, Szolochowa, Majakowskiego, Eluarda, Aragona, Neruda, Amado, Fasta, Zweiga, Brechta, Seehers, Henrika Manna?

— Nie, nie wyszły u nas.

— Mimo że należą do światowej literatury?

— Nikt ich nie żąda.

— A Papena żądają?...

Willy Bredel brał udział w spotkaniu pisarzy w Hamburgu, które odbyło się w grudniu roku ubiegłego. Uczestniczyli w nim liczni pisarze, których nie można zaliczyć do reakcjonistów, żeby wymienić tylko Lampla.

Brałem udział — mówi Bredel — w kilku imprezach tego Literackiego Tygodnia i stwierdzam, że o

wojennej nagonce odwetowej, o której wreszcza różne gazety żołnierskie i pamiętniki zbrodniarzy wojennych, nie było na wieczorach hamburskich mowy. Przeciwnie, miało się wrażenie, że uczestnicy spotkania świadomie nie przyjmują istnienia takiej prasy i literatury do wiadomości. Biorąc udział w zebraniach tej niewielkiej wspólnoty literackiej mogło się chwilać, mi wydawać, że żyje w pokojowym, dobrze zorganizowanym świecie, w którym nie złego nie grozi ani teraz, ani na przyszłość. Kiedy się słuchało przemówień i recytacji, kiedy się patrzyło na twarze audytoria, miało się wrażenie, że nęde i rozpacz drugiej wojny zostały zapomniane, że i pisarze i audytoria mają do niej taki stosunek, jakby to była jakaś wojna trojańska. Nikt nie odezwał się choćby słowem o niebezpieczeństwie nowej wojny, o panoszeniu się literatury fabrykowanej przez faszystów, o literackim gangsterstwie. Pisarze hamburscy jak gdyby nie zauważyli nawet tego, że w czasie Tygodnia Literackiego stary hamburski senat socjaldemokratyczny zastąpiony został przez senat składający się w większości z pacholków Adenauera.

O czymże mówili hamburscy pisarze?

Oto tematy niektórych prelekcji: „Dlaczego chodzimy do teatru?”, „Jak odpowiednia książka trafia do odpowiedniego czytelnika”, „Dlaczego współpraca filmu z literaturą jest taka trudna”.

Po imprezach oficjalnych odbyło się z gościami z NRD kilka spotkań w ścisłym gronie. Tu rozmowy miały nieco inny charakter. Omawiano więc apm premiera Ulbrichta do pisarzy niemieckich, wzywający do walki o kulturalne i narodowe zjednoczenie Niemiec, między innymi o szeroką wymianę między wschodem i zachodem literatury humanistycznej. Rozmowy te doprowadziły wreszcie do poruszenia tematu pominiętego podczas obrad oficjalnych hamburskiego Tygodnia. Błł nim postulat zjednoczenia Niemiec.

✱

Werner Ilberg omawia na łamach „Neue Deutsche Literatur” kilka pozycji beletrystycznych, które ostatnio pojawiły się w Zachodnich Niemczech. Ilberg opowiada na wstępie, że kiedy w pewnej bibliotece miejskiej poprosił o współczesne nowości niemieckie, w trzech bibliotekarkach oświadczyły, że to bardzo trudna sprawa, ponieważ współczesnych książek niemieckich jest w biblioteczce bardzo niewiele.

Mimo tej odpowiedzi Ilberg zapoznał się z kilkoma utworami i zdaje z nich sprawę. Oto książka „Proch” Reinharta Stahlmana (z prochu powstał i w proch się obróci!), powieść wojenna pseudorealistyczna. Front to piekło, zaplecze z burdelami, wytwornymi knajpami, łatwymi kobietami... to raj na ziemi. Jakże inaczej widział kiedyś obszar poza frontem Barbusse! Podczas krótkich urlopów w bohatrach jego rodziny się buntownicze

myśli o konieczności przebudowy ustroju. W „Prochu” jest tylko strach przed śmiercią i zwierzęca żądza życia.

Paweł Fechter, autor historii literatury w której Hitler figurował jako jeden z najwybitniejszych prozaików współczesnych, jest autorem rozchwytywanej w Zachodnich Niemczech utopii „Cala władza kobietom”. Rzecz dzieje się w roku 1989. Istnieje znowu Rzesza, jesteśmy w przededniu wyborów do Reichstagu. Walczą ze sobą dwie partie. Nie wysyskiwacze i wysyskiwacze, lecz kobiety i mężczyźni. Zwycają kobiety, które przede wszystkim przystępują do reprzytaczania na wielką skalę. Robotnicy grozą strajkiem. Ale strajk nie wybucha, bo szanowna inicjatywa prywatna wyraża gotowość znacznego podwyższenia płac, z czym się zresztą nosila od dawna...

Johannes Rüber, autor książki „Amaryl”, opisuje idylę miłosną, jaką przeżywa we Włoszech pewien Francuz biorący udział w akcji włoskiego ruchu oporu. Na marginesie tej książki Ilberg przyznaje, że pewne walory literackie wypowiada słowa następujące: Autor książki wziął sobie za wzór cesarza Dioklecjana, który zrezygnował z władzy, by uprawiać swój ogród, bo uprawianie ogrodów jest lepsze od prowadzenia wojen i świat można uratować tylko przez dobroć. Słusznie! Tylko że sama dobroć nie wystarczy. Dobroć nie obala się ani Mussoliniego, ani Hitlera, ani Adenauera. Słowa o dobroci nie mogą zastąpić słów wzywających do walki, a w sytuacji obecnej hasła głoszone przez Rüberów służą jedynie do tego, by powstrzymać ludzi od niedozwolonej walki przeciw nowej wojnie.

Ilberg omawia jeszcze książkę Doroty Hollatz „Kto z nas jest bez winy”. Akcja utworu rozgrywa się w pewnej wsi alpejskiej w roku 1949. Książka opisuje los kobiet wiejskich, którym wojna zabrała najbliższych. Krytyk zarzuca autorce, że zbyt mocne uwypuklenie cierpiętnictwa opisywanej przez nią wioski może w czytelniku pozostawić podstrzał propagandy neohitlerowskiej wwołać wrazenie jakoby Niemcy padły ofiarą jakiejś wolażającej o pomstę do nieba niesprawiedliwości. Niewątpliwie pisarka nie chce wojny, niewątpliwie jest przerażona i do głębi wstrząśnięta jej skutkami. Ale Dorota Hollatz nie znajduje drogi, która by zapobiegła nowej katastrofie.

Chcieliśmy — kończy Ilberg — wraz z nią nieść pomoc, rozumieć, przebaczać, a przede wszystkim łagodzić cierpienia. Ale nie jest to tylko sprawa dobrej woli, lecz świadomości, jak wygląda mechanika współczesnego życia ludzkiego. Byłoby rzeczą piękną, gdybyśmy wszystkie nasze siły zużywali jedynie na to, do czego apeluje autorka książki: na wzajemną miłość i pomaganie sobie. Na razie jednak trzeba gromadzić i koncentrować te siły dla unieszkodliwienia jednego z głównych źródeł cierpienia, źródła, z którego wypływa wojna.

Jacek Frühling

José Martí

(Dokończenie ze str. 1)

jeden późniejszy pisarz mógłby wziąć za dewizę swego dzieła: „Albo literatura będzie wyrażała lud, który ją tworzy, albo będzie pustką, pozbawioną wszelkiego uczucia...”

Toteż nie tylko z myśli politycznej Martíego, ale i z jego twórczości literackiej rodzi się to wszystko, co jest najcenniejsze w dalszej sztuce i w dzisiejszej kulturze kubańskiej — w całej kulturze południowo amerykańskiej. José Martí jest jednym z najwspanialszych

synów tego wspaniałego kontynentu, jest kryształowym źródłem nowych narodzin, narodzin poetów, pieśniarzy i działaczy — dla których słowo „człowiek” oznacza taką pełnię, jaką nazywał człowieczeństwo Martí.

Wielki poeta chilijski Pablo Neruda poświęcił kryształowemu sercu José Martí wspaniały wiersz. Jego natchnione słowa dokładnie charakteryzują rolę i znaczenie dla świata Ameryki Łacińskiej plomienne-go Kubańczyka — José Martí:

Kubo, ty kwiecie pienisty, światłem pulsujący
lilio szkarłatna, ty, krzewie jasminu,
trudno jest odkryć pod zarostem kwiatów
tвій węgiel czarny, węgiel umęczony,
tę dawną brudną, którą śmierć wyrzyla,
bliznę pod pianą kwieciastą ukrytą.

Lecz żyje w tobie niby nakreślona
na świeżym śniegu wyraźna figura,
Tam w głębi ziemi, w najgłębszej twej warstwie,
gdzie leży Martí jak jądro orzecha.

Jest tam pod spodem świeży prąd powietrza,
tam, w lazurowym centrum twojej ziemi,
tam polyskuje niby kropła wody
jasny spoczynek zasianego ziarna.

A noc z kryształu go okrywa.

Placzu i bólu szybko biedne kropkle
aż do tej głębi ziemi się wsaćczą,
gdzie śpi uśpiona jasność nieskończona.
A lud przenika swymi korzeniami
poprzez noc ciemną w sam dół, gdzie zacerpnie
wody spokojnej pod ziemie warstwy.

A czasem poryw gniewny depece
ziemię zasłania przyszłymi ziarnami;
trup wtedy spada do kielicha ludu.

A czasem nagle bał już zapomniany
wraca z pogwidnem pod kopułę nieba,
krwi kropła wtedy niby kwiaty płatek,
pada na ziemię i przenika w ciszę.

Wszystko w tym czystym blasku się gromadzi
i drobne łale drżenia uderzają
W te drzwie z kryształu, gdzie on leży ukryty.

Każda łza wpada do tego potoku,
Każdy płomień przenika do ściany tej budowy,

Takim sposobem forteca ukryta
i zakopane burzyckie ziarno
rodzi wciąż nowych bojowników wyspy.

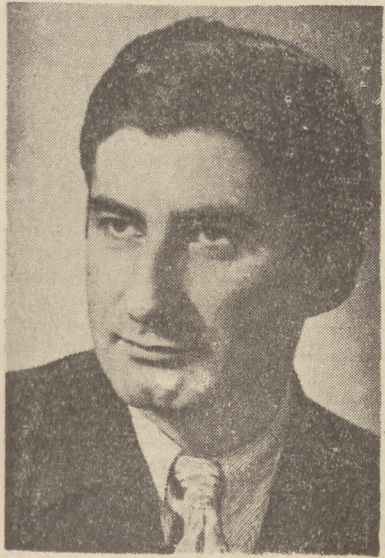
Powstają oni z wiadomego źródła.
Wszyscy się rodzą z kryształowej studni.

Adam Bromberg

Jarosław Iwaszkiewicz

Pisarze wobec dziesięciolecia

STEFAN OTWINOWSKI:



Przygotowałem do druku tom opowiadań. Książka ta zbiega się z datą doniosłą dla wszystkich pracujących dla dobra rozwoju nowej, socjalistycznej kultury. Dziesięć lat. Pragnę skontrolować własną drogę twórczą, chcę porównać ją z przebiegiem zagadnień społecznych, z historią spraw wielkich i małych. Spotykam w tym przeglądzie wiele osobistych błędów, wiele trudności. Sądzę, że dzisiaj mogą one być interesujące także dla moich czytelników. Spróbuję zrobić rachunek.

Oto moje okolice. Urodziłem się w małym miasteczku nad Wartą. Gimnazjum skończyłem w Kaliszu. Towarzyszy mi przez całe życie sentyment do tak zwanej prowincji, uczucie, które wspomogło niejedną kartę mojego pisarstwa. Zaważyło ono na romantycznym tonie mojego stylu; mam krytyków, którzy nazywają go już manierystycznym... Ale nie o stylu chcę mówić. Nie jest wolny od manieri mój sposób patrzenia na świat. Zbyt łatwo chcę dochodzić do pozytywnych rezultatów analizy. Łatwo — to nie znaczy, że szybko. Zdaję sobie sprawę z tego, że pisząc tak niby ładnie o wewnętrznym życiu człowieka, pisałem jednocześnie nudno. Konflikty tylko psychologiczne gubiły się w formalnym rytmie prozy. Przystylizowałem nawet swą najbardziej „historyczną” powieść „Czas nieludzki”.

Bardzo trafnie wyprowadził sprawę pewnej samotności Wiktor Woroszyński, pisząc o drodze Galskiego. Ale i w inny sposób mogła się zawiązać samotność pisarza. Chcę tu w kilku słowach wspomnieć o jeszcze jednym procesie osamotnienia w dwudziestoleciu i o jego skutkach. Wydaje mi się, że ten przypadek nie był odosobniony.

Szkola średnia na prowincji, w której pobierałem nauki nie dała mi żadnej wiedzy o społeczeństwie. Co z niej wyniosłem? Przyjął do trzech profesorów gruzlików, którzy mówili bardzo sugestywnie o klasie swego życia. Co jeszcze? Miłość do pięknego, choć małego miasta, „otoczonego ramionami Prosy”. Nic więcej? Owszem, jeszcze jakiś „imponderabilny” szacunek dla tradycji narodowej, która według marzy-cielskich deklaracji naszej nauczycielki historii, nigdy nie popierała walki klas, zawsze była demokratyczna i nigdy nie szabiła się dyskryminacją rasową. Nauczycielka historii bardzo lubiła słowo imponderabilia. Zresztą było ono wtedy modne. Imponderabiliści bronili się inteligencji sanacyjnej przed precyzowaniem pojęć filozoficznych i politycznych.

Przyjazd do Warszawy dla dziesięcioletniego studenta to zupełnie zwykła sprawa. Przed dwudziestu pięciu laty taki przyjazd musiał być wydarzeniem przełomowym. Piszę o tym w opowiadaniu „Czerwony goździk”. Krótko: przyjechałem do stolicy z kompleksem prowincjonalistą i ambicją Lucjana de Rubempré. Kompleks podsycała mnogość sztychów pierwszych tutaj kolegow. Zaczęło się od plecionego koszyczka, który zastępował mi walizkę. Bronilem się niefortunnie i coraz bardziej w pojedynkę... Październik, listopad. W listopadzie przeżyłem pierwszy pogrom Żydów na terenie Uniwersytetu. Młodzież „narodowa” była nie tylko Żydów. Dostałem łaskę w głowę dlatego, że na głowie zamiast czapki bratniaka miałem czarne włosy. Mój szkolny kolega „Jordan Stojowski” wybronił mnie spod kijów korporanckich, przysięgając, że jestem od XIV wieku szlachcicem. Działo się to w pierwszej połowie XX wieku.

Dużo mnie kosztowało to nagłe spotkanie z obywatelami gwałtu i chamstwa. Przeżywałem akademickie ekscesy jako osobisty wstyd — i lekkoślnie skorzystałem z prawa samotności. Depcząc na mi piętach przez całe życie choroba płuc dopomogła mi tym razem w pogłębieniu odosobnienia. Chodziłem na dalekie spacery za miasto, idealizując pejzaż podmiejski, który przypomniał mi cichą prowincję. Teoretyczne studia z zakresu języka i historii literatury ustępowały miejsca pesymistycznej filozofii wspólnego, studenckiego pokoju. Napisałem powieść autentyczną i bardzo smutną. Formalnie rzecz biorąc była to

książka bez żadnej kompozycji. Wierzyłem, że ze wzruszeń, wspomnień i konfrontacji ułoży się całość samoczynnie. Żeby trafić do wyobraźni czytelnika — myślałem — nie można mu podsuwać za dużo obrazów życia zewnętrznego. Pisarstwo jest funkcją myśli nie tylko autora, nie zawiązuje w umyśle czytającego żadnych świeżych formacji, lecz po prostu przedłuża normalny ton wyobrażeń i nastrojów, czasami je może budzi... Z recenzji dowiedziałem się, że moje filozoficzne ambicje są typowe dla debiutantów okresu — a główne wątki tematyczne: nędza i choroba powtarzają się też dosyć często. Rzeczywiście. Bardzo krótko po wydaniu książki poznałem wszystkich moich literackich rówieśników, potem ich pierwsze książki. Gdybym świadomie stawiał na oryginalność, przeżyłbym chwilę wielkiego rozczarowania. Choroba była wówczas dla pisarzy jakby bazą konstrukcyjną — podobnie jak dzisiaj produkcja. Można by zaryzykować dowcip, że z bazy tej najchętniej wybierało się na bohaterów gruzlików tak, jak w pierwszym okresie realizmu socjalistycznego — budowlanych. Jeśli była i w tamtych książkach odrobina realizmu to tylko dlatego, że były to przeważnie książki autobiograficzne.

„Tymczasem wybuchła wojna i dostałem się do niewoli”. Tak egocentrycznie zaczyna się pierwsza powieść Dygata „Jeździok Bodefskie”, powieść, którą powinno się wznosić także dlatego, że doskonale zamyka okres.

Późno — dopiero w czasie okupacji — zrozumiałem, że literatura nie jest sprawą osobistą. Że samotność to wygoda na krótko. Ale wiele zrozumieć — nie znaczy jeszcze umiejętnie dysponować swym piórem. Długo będą się za mną wlokły nawyki komponowania nieprzymuszonego.

I w czasie okupacji pisanie było dla mnie formą kontemplacji. Kiedy zasiadałem do biurka gał realny obraz życia i walki w ogólnym, faktycznym zarysie. Zjawiały się momenty najbardziej paniczne. Notowałem wszystkie odruchy, myśli z tych chwil. Wydawało mi się, że i w ten sposób potrafię przekazać

ważne informacje o ludziach, o ich postawach moralnych. I znowu powieść przerodziła się w studium psychologiczne, oderwane od obiektywnego tła. Wyka nazwał ją potem traktatem na temat fizjologii strachu... A przecież nie tylko o tym chciałem pisać. Układałem też trudną i szczerą książkę z myślą o nieobecnych. Miała być to w pewnym sensie powieść historyczna. Tymczasem... Tymczasem ci, którzy nie mogą kwestionować możliwości opisywanych doświadczeń, gdyż znali warunki, w jakich się one rozgrywały, przyznają „Czasowi nieludzkiemu” wartość tylko dokumentu psychologicznego. Inni, młodszy, w ogóle nie mają sposobów, żeby ocenić prawdę tych zjawisk. Tym lepiej dla nich. Przypnijam jeszcze i to: powodowała mną wtedy zbyt silna wiara w wymowę przeżyć jednostkowych. Był to autentyzm, ale bynajmniej nie realizm.

Dokładnie w rok po pamiętnym powstaniu warszawskiego getta, w czasie świątecznych dni Wielkanocy odżyła w moim umyśle tamta miniona groza. W ciągu kilku godzin ułożyłem dramat. Zapisywałem nieporządnie scenę po scenie. Do szkiców tych wróciłem dopiero po kilku miesiącach. Powstała sztuka o bojowym czynie Żydów polskich, mój pierwszy utwór sceniczny. Po co ukrywać? Lubi się, a nawet kocha wszystkie swoje książki — i te z błędami, i te niewydarzone. Niemłodemu, bezdzietnemu pisarzowi mogą one zastąpić rodzinę. Przeżyte czasami po kilka razy, przeżyte i ukształtowane w jakiś przebieg zawsze porządek, sprawy żywota własnego i związanych z nim cudzych losów potwierdzają myśl o niezmarnowanym życiu... Nie zmarnowałem doświadczeń. Moja „Wielkanoc” dała mi prawo myśleć o sobie jako o pisarzu społecznym. Po premierach łódzkiej i krakowskiej otrzymałem listy serdeczne i anonimowe z pogrozkami. To już nie była samotność.

Wracałem i wracam do tematu „Wielkanocy”. W tonie, który wydaje obecnie, znajdują się dwa nowo napisane opowiadania, które łączą się z tamtym czasem. Cenię swoją słabość do korzystania z osobistych przeżyć; szkoda mi ich z punktu widzenia pisarskiego. Kwalityfikuję je jako sprawę swego także politycznego obowiązku, zrozu-

miałem, że literatura może mieć rangę czynu.

W Krakowie, gdzie znalazłem się w marcu 1945 roku wraz z kilku przyjaciółmi warszawskimi, zaczęło się formować nowe życie. Warszawiacy, nawet ci zapatrzeni w siebie psychologię, byli i tak bardziej zdolni do wszelkiej działalności organizacyjnej i publicystycznej, aniżeli większość pisarzy krakowskich. O tych pierwszych latach odrodzenia, latach krakowskich napisało się już dużo. Sam mógłbym zebrać spory tom felietonów. Właśnie felietonistyka stała się na kilka lat moim ulubionym gatunkiem („Kućnica”, „Odrodzenie”, „Dziennik Polski”). Sztuka „Dobra wroźba”, którą napisałem w 47 roku miała w sobie wszelkie wady i zalety mojej ówczesnej publicystyki. To znaczy była w świeży sposób lekkomyślna, formalnie nonszalancja i drażniła solidnych krakowiaków. Ale bądźmy sprawiedliwi: środowisko krakowskiej inteligencji drażniło mnie nie tylko i raczej żywiołowo, niż w oparciu o społeczne czy polityczne argumenty; stąd moje ówczesne zadawactwo, często nikomu do niczego niepotrzebne.

Nie miejsce tu, żeby się rozwodzić o życiu, znaczeniu i rozwoju naszego Związku. Chciałbym tylko wspomnieć o nowym sposobie organizowania startu literackiego młodym. Środowisko krakowskie ma w tym dziele po moim spór i twórczą zasługę. Już w roku czterdziestym piątym Dom Literatów przy ulicy Krupniczej stał się punktem orientacyjnym dla tych niemal wszystkich najmłodszych, którzy swą przyszłość widzieli w pracy nad rozwojem literatury narodowej. Utworzenie Klubu Młodych stało się pierwszą okazją do walk twórczo-polemicznych z udziałem starszych pisarzy. Sława naszych dyskusji i pierwszych zwycięstw artystycznych nowego pokolenia literackiego rozszalała się szeroko po kraju. Dla mnie — organizatora tych spotkań i niektórych startów — były to lata ważne także z osobistych względów. Pożegnałem wtedy ostatecznie przynusową i nieprzynusową samotność. Zyskałem nowych przyjaciół, nowych towarzyszy drogi w ojczyznę — w świat społecznych, socjalistycznych idei, zbiorowego wysiłku i wspólnych radości.

ANNA KAMIENSKA

Niektóre problemy młodej poezji

nej, w sposobie skrótowego, niemal hasłowego podawania treści.

Krolom węgla,
zelaza,
nafty,
ministrom bez ludu,
generałom bez armii
powtorzyła leninowska prawda
tłumaczona na język armat.

Samodzielny życia ludzkiego,
to koniec,
to nas wora,
to w zakutych zimowego
wali „Aurore”.

Nie tylko temat w tym wypadku sugeruje poecię tak wiersza w stylu Majakowskiego. Podobnie pisze Mandalian w wierszu o Świerczewskim, w wierszu „Towarzyszom z bezpłuczeństwa” i w wielu innych. Mandalian pożywa u poety Wielkiej Rewolucji Październikowej — barw dla oddania naszej rewolucji. Często mu się to udaje. Niezbyt czysty wprawdzie ten stylbo zniekształcony trochę manierą imaginistyczną — tak że wychodzi z tego czasem Majakowski podszyty Jesieniem.

Brnęła noc
przez serce,
przez rzyśka,
kolejami się snuła,
po łowach
i przyszedł towarzysz Dzierżyński
do towarzysza majora.

albo
Znowu wiosna,
towarzysze,
znowu
z oknami pociągów,
podnoszą głowy
tuż
w zagajnikach
białe smugi stopniałych brzoź.

Białe jesieniowskie brzozy znaczą ślady poety. po innych regionach wzruszeń. Wiersze Mandaliana wnoszą ton świeży i energiczny do naszej poezji skłonnej czasami do powierzchownej refleksji i tradycjonalizmu formy. Mandalian w najlepszych swoich wierszach umie pokazać szczegół budzący wzruszenie i mobilizujący; jakas podniszczona kurtkę zapracowanego sekretarza terenowego komitetu partyjnego, jego kalendarz będący świadectwem trosk i spraw. Wzruszeniu tym obrazami czujemy się włączeni w dramatyczną walkę rozgrywaną się w terenie. Taki jest cel, takie zamierzenie poetyckie Mandaliana — partyjne i ambitne. Gdyż mimo licznych deklaracji poetyckich na temat walki, trudności itd. prawdziwe obrazy walki rzadko zjawiają się w naszej poezji. Jest także w wierszach Mandaliana ładunek emocji, jest powaga tej walki np. w dobrym wierszu „Wiec na Koepeńku”.

Niech szukają zgraje pancerne,
niechaj ćwiczą paradny syk,
niech Koepeńk nie przejdzie
przez te pięści nie przejdzie nikt!

Oprócz wtętości imaginistycznych psują niekiedy czystość stylu wtrę-

ty futurystyczne, charakterystyczny dla manieri futurystycznej maszynizm np. w takim zwrocie:

nam w tej drodze,
w marszu,
w ataku —
niedojary pękały serca.

Ten styl będący echem przebrzmiających szkół poetyckich jest w poezji realistycznej obcy ideowo, antyhumanistyczny.

W ferworze walki Mandalian niekiedy zadowala się gestem, zamierza się do ciosu, pokazuje pięść — nawet tam, gdzie nie trzeba. W szlachetnym pragnieniu pokonywania przeszkód — posuwa się tak daleko, że modli się niemal o wrogów, „żeby było kogo zwyciężać”. Pisze:

Daj nam serce mocne i młode,
daj nam słowa z fałszu wyprane,
żeby sercem walić jak młotem,
żeby słowa rzucać jak granat.

Ale w jakiego wroga? W jakiej walce? Tego nie mówi. Zadowala się w tym wypadku (wiersz „Droga”) samym gestem.

Tam, gdzie za rękę prowadzi Majakowski — w tematach rewolucji walczącej — lepiej się czuje Mandalian jako poeta. Trudniejsze są ścieżki tematów budowy nowego życia. W wierszach z „Wiosny Sześciolatki” nie ustępuje Mandalian schematowi i pustej retoryki, podobnie jak pozostali autorzy tego tomu, co im kilkakrotnie wytknięto.

W lirykach, których kilka zamieścił autor w części III tomu obnaża się „młodzieńczość” poety w sensie, niestety, ujemnym. Tu w lirce osobistej nie tak łatwo poddać się czyjemuś rozumnemu kierownictwu, tu poeta więcej musi dać z siebie, z własnego przeżycia, z własnej myśli. Tu nie załatwi nic za poetę skróty poetycki — rodzaj poetyckiego sloganu ani dzwiennej tok zdania obdarzonego na końcu kropką, a nie wykrytykaniem tylko dlatego, że kropka wyraża stanowczość, upór, zdecydowanie przekonanie. W lirce osobistej poeta musi myśleć sam za siebie. Deklamacja, szluzowy patos — wyłaża tu od razu. Liryki Mandaliana — w rozdziale III są niedobre, nieprzekonywujące. Nie czuje się poza nimi głębszej wiedzy o życiu. Roją się przy tym od dziwnych obrazów w rodzaju:

Stukało, stukało serce,
niezgrabie, kruche, jedne,
i było iżami w radości,
i było w ranach jodynia.

z czego wynika, że „serce było w ranach jodynią”.

Jak to się dzieje, że młody poeta, który napisał kilka dobrych wierszy agitacyjnych, nie umie sobie poradzić w tzw. tematach pozytywnych, gdy mówi o pracy, o budowie, gdy mówi o miłości? Niewątpliwie, wiele można wytłumaczyć młodością, brakiem doświadczenia życiowego i pogłębienia światopoglądu. Tam, gdzie poeta

Z licznych opisów, szkiców, pamiętników moich młodych korespondentów wyłaniał się kształt nowego patriotyzmu. Obrazy zachęcały mnie do przystąpienia do terenowych. Zaczęłem coraz częściej wjeżdżać we wskazanym przez młodzież kierunku, żeby wyobraźnię pisarską wesprzeć przeżyciem, przeżyciem dla mnie nowym, prostym i o ilez pełniejszym od kontemplacyjnych wzruszeń. Mówię: przystąpienie do terenowego, gdyż trudno mi się wyrzec tej niepełnej nowej intonacji podróży. To, że byłem zawsze romantykiem i prowincjonalistą pomogło mi zresztą w zebraniu dwóch tomów reportaży i opowiadań. Moja praca terenowa trwa.

A teraz trochę teorii. Nie będą to rzeczy nowe, wszystkim nam jednak zbyt leżą na sercu, by nie powtarzać ich w oparciu o własną obserwację. Chodzi mi o sprawę wulgaryzowania epiki — ciężki grzech etapu być może minionego. Otóż było przeważnie tak. Przyjeżdżał młody pisarz w obręb większej czy mniejszej budowy — na trzy miesiące. I przyjeżdżał jak eksplorator, z myślą wyżyłowania wszstkich spozstrzeń. Pisał więc jakby z pomocą jednego zmysłu. Swoją warsztat „realistyczny” opierał na bazie produkcyjnej tej jednej, z którą przez trzy miesiące współżył. Nawet konstrukcję opowiadania czy powieści podporządkowywał wzrostowi budowy. Ludzi brał żywcem. I dziwił się potem, że są dla czytelnika niesympatyczni... Nie wiedział, albo zapominał, że człowiek może być sympatyczny przez trzy godziny, ewentualnie trzy dni — albo dopiero przez trzy lata, czy przez trzydzieści lat. Najtrudniej być sympatycznym przez trzy miesiące... Powieść epicka kończyła się razem z ukończeniem odcinka budowy, niekiedy całe, jeśli była to budowa mała. Na przykład dom. Dom i tom. Można jechać dalej, zabierać się do nowej książki. Eksploatować inny, chociaż podobny wzór.

Jak większość mężczyzn w średnim wieku jestem trochę moralistą. Dlatego przyczynę teoretyczną chcę zakończyć morałem. Studia terenowe nie mogą się opierać na spekulacjach zmysłowych. Pisarz może wziąć tylko tyle z obiektu swych obserwacji, ile znieśnie jego zdolność przeżycia. A od ludzi, których się chce opisać nie wystarczy brać, trzeba im także coś dawać. Autor,

który nie wraca do okolic, skąd czerpał doświadczenia twórcze — nie może mieć do czytelnika pretensji, że ten nie wróci nigdy do jego książki. Jak więc traktować studia terenowe? Chyba jako najważniejsze ognio nie tyle obserwacji, ile życia pisarza. Pisarz w czasie tych studiów musi pozostać sobą. Nie powinen go ani przypadkowy czytelnik, ani wydawca kreować na operatywnego i jednorazowego wykonawcę zamówienia. Rozwój pisarza jest uwarunkowany trwałym jego związkiem z czasem przemian społecznych i moralnych narodu. Z wielką perspektywą możliwości człowieka.

Rozumiem coraz lepiej tak zwany patos terenu. Wzrasta w nim inteligencja i wola człowieka pracy. Klasa robotnicza przejmując odpowiedzialność nie tylko za losy przyszłych dzieł kultury, lecz także czuje się spadkobiercą tradycji narodowej. Młodzież nasza żywi coraz silniejsze uczucia wobec zdobywców nauki i pracy ludzkiej. Wobec zdobywców, których jest współtwórczynią. Budowa ośrodków przemysłowych obejmuje miasteczka leżące jeszcze ciągle wśród smętku głębokiej prowincji.

Tak, jest jeszcze i to. Smutek po wojennych tragediach uchodził stąd wolniej, aniżeli z wielkich ośrodków życia i transakcji. Starsze kobiety w Brzesku, które straciły synów w Mauthausen dłużej pamiętają swą stratę, aniżeli matki, które odzyskały swoją Warszawę. Instruktor partyjny z powiatowego miasteczka na Podhalu tęskni do rodzinnego, pięknego Krakowa, ale nie porzuci terenu, bo chce dobrze przeżyć ambicję: w trudzie tworzy nowe przywiązanie. Nauczyciel z Makowa pisuje do mnie od kilku już lat. Jest byłym więźniem faszystowskich obozów śmierci. Początkowo zwierzał mi się jedynie z potwornych zdarzeń i bardzo deprymujących myśli, przed trzema laty spozstrzegł znowu świat, dumny jest ze swych uczniów — dwóch z nich przoduje przy budowie Nowej Huty — rok temu ożenił się wreszcie... Przytaczam tu autentyczne fakty. Ich bliższe lub dalsze reminiscencje znajdzie czytelnik w tomie opowiadań „Moje okolice”.

Kończąc poza tym dramat współczesny z życia inteligencji krakowskiej „Gwiazdy i ziemia”.

Stefan Otwinowski

Do tego osiągnięcia zbliża się znacznie Andrzej Mandalian w swoim następnym poemacie jeszcze nie ogłoszonym drukiem, daleko, mimo śladów dawnych błędów, pozostawiając swoje pierwsze próby.

Debiut Gaworskiego był na ogół przez naszą krytykę przyjęty pozytywnie. Przede wszystkim urzeki krytykę pozorny brak w tomiku jakichś



Henryk Gaworski

Nie będę tu analizować omawianego już przez krytykę poematu „Dziś” zamieszczonego w tomiku. Sądzę, że mimo młodzieńczego pchnięcia — jest to najbardziej udany utwór Mandaliana, świeży i szczerzy w swym tonie rewolucyjnym, przenoszący dobrze wpływy poezji rosyjskiej do naszego wiersza, mimo że niektóre strofy brzmią jak tłumaczenia, np. zwrotka przeniesiona z wiersza Bragickiego:

Nas epoka do szturm, wiodła,
z nami w bagnach wbrnęła po pas,
nas mieniące sadzała w siodła,
zabijała zwa węgla nas

Tu znowu w kilku obrazach tańczą jesieniowskie „ospane ciała drzew”, a księżyc „po obłokach się tarza”. Godna szacunku jest w tym poemacie powaga walki politycznej i ta powaga, jaką w swym agitacyjnym wierszu toczy poeta z przeciwnym systemem wielu naszych wierszy. W ostatnich dwóch częściach poematu „Dziś” szlachetnie brzmi frazy Mandaliana pełne rzeczywistego napięcia uczuciowego:

Niech na zawsze dla nas zostanie
głośniejszym od najgłośniejszych słów,
to milczenie
postawionych pod ścianą
przed plutonem
polityczny łut.

Jeśli Mandalian pogłębi treść swoich wierszy lirycznych, obdarzy nas poezją jednocześnie bojącą i ludzką.

obłąkał burżuazyjnych. Oto pierwszy poeta całkowicie wychowany w Polsce Ludowej, nie obarczony grzechem perwotnym awangardyzmu, czy ekspresjonizmu. Chwalono rzekomą samodzielną młodość poety, zabawoonego kompleksów intelektualizowania, mowiącego rzeczy proste prostym językiem. Nie ze wszystkich tak było. Krytycy za słabo pokazywali młodym pierze niebezpieczeństwa tych wzorów, którym ulegał. Naturalny to fakt, że młody poeta naśladuje. Ale w tomiku Gaworskiego kierunek tego naśladowstwa nie zawsze był obiecujący. Raziły powierzchowne „skamandrytyczne” upojenia młodego poety, sięgające aż do Wierzyńskiego, młodopolska nastrojowość obok wpływów naturalistycznych (na budowie „winda skowyczy jak psisko i ryga”). Obroniono młodego poeę jego młodością. Było to o tyle słuszne, że debiut Gaworskiego miał niewątpliwie cechy obiecujące: kilka prostych, udanych wierszy i dużo dobrych chęci.

Wydaje mi się, że drugi tomik Gaworskiego „Rytm serca” należy nadal wziąć na kredyt młodości autora. Najlepszym utworem tomiku jest

(Dokończenie na str. 7)

Problemy humanistyki uniwersyteckiej

ZDZISŁAW LIBERA

O naukową atmosferę uczelni

Artykuł Jerzego Adamskiego na temat humanistyki uniwersyteckiej poruszył szereg ważnych zagadnień dotyczących studiów filologicznych. Adamski wystąpił przeciw systemowi szkolnictwa biorąc w obronę prawo studenta do samodzielnego badania naukowego, skrytykował program nauczania i organizację studiów zarzucając im przede wszystkim charakter biurokratyczny. Studenci według wywodów autora zdobywają encyklopedyczną i powierzchowną wiedzę, nie uczą się natomiast samodzielnej analizy krytycznej zjawisk humanistycznych. Nie ma właściwej proporcji między wymaganiami z przedmiotów głównych, a tzw. przedmiotów pobocznych, niepotrzebna wciąż wagę przywiązuje się do wykładów kursowych, usuwa się zaś na plan drugi wykłady monograficzne.

Ten stan rzeczy odbija się ujemnie nie tylko na wynikach pracy studenta, ale pociąga za sobą inne groźne dla nauki następstwa. „Cenny pracownik naukowy, pisał Adamski, zniechęca się do uniwersytetu, zniechęca się do studentów, którzy inni wówczas korzystają z jego wiedzy, wychodzą z uniwersytetu gorzej przygotowani, więc sami gorzej przygotowują następne pokolenie przyszłych studentów, to z kolei wpływa na jeszcze większe biurokratyzowanie studiów uniwersyteckich, obniżenie ich poziomu, wskutek czego pracownicy naukowcy zniechęcają się do uniwersyteckich zajęć dydaktycznych, odchodząc z uniwersytetu”.

Jakież wnioski wynikają z powyższych rozważań? Czyżby należało powrócić do dawnego wolnego systemu studiów humanistycznych? Chyba autor nie to ma na myśli, skoro wyraźnie stwierdza, że „trzeba było całkowicie zlikwidować stary system nauczania, który przy swoim zmurszałym liberalizmie w rezultacie dawał masie studenckiej wykształcenie bardzo dyletanckie, nie odwołane do żadnych z góry ściśle określonych zadań społecznych”.

W jakim kierunku zatem ma iść proponowana zmiana organizacji studiów i systemu nauczania? Tego artykuł wyraźnie nie mówi. Sprawę traktuje bardzo ogólnie, a wysunięte sugestie dotyczą w zasadzie zagadnienia wykładów kursowych i wykładu z literatury powszechnej. Adamski stawia, jak to się mówi, problem i zachęca do dyskusji. Przyjrzyjmy się zatem dokładniej omówionym sprawom i spróbujmy je uporządkować.

Studia filologiczne, bo o nich właściwie się tu mówi, stanowią problem złożony. Inaczej wygląda sytuacja na polonistyce, gdzie studia mają charakter masowy, inaczej na filologii obcej, np. romańskiej czy angielskiej, jeszcze inaczej na orientalistyce czy filologii klasycznej. Nie idzie tu tylko o liczebność uczących się studentów, ale o cel, do jakiego te studia prowadzą. Polonistyka kształci przede wszystkim nauczycieli szkół średnich, orientalistyka czy też filologia słowiańska przygotowują głównie pracowników naukowych, ewentualnie tłumaczy, w mniejszym stopniu pracowników instytucji wydawniczych.

Na sekcjach neofilologicznych poważna trudnością, przed którą stoi uniwersytet, jest słaba, nie wystarczająca znajomość języków obcych (rosyjskiego, francuskiego, angielskiego). Jak wykazuje doświadczenie, w ciągu dwóch pierwszych lat nacisk jest położony na praktyczne opanowanie języka obcego na tyle, ażeby student mógł swobodnie czytać teksty literackie, objęte lekturą. Przy słabej znajomości języka trudno mówić o poważnej analizie dzieła literackiego. Sprawa znajomości języka to jeden moment, który wyraźnie różni studia w zakresie filologii polskiej od studiów w zakresie innych filologii. Liczebność studentów odbija się również na procesie dydaktycznym. Rzecz jasna, że inaczej układa się kontakt profesora i asystenta ze studentami wtedy, gdy jest ich dwóch, dziesięciu czy trzydziestu. W miarę powiększania się liczby studentów, zmniejsza się w praktyce częstość ich kontaktów z profesorami. Uświadomienie sobie tych prostych prawd jest konieczne przy podejmowaniu wszelkich prób reform studiów humanistycznych: należy uwzględnić właściwości poszczególnych kierunków, nie wolno wszystkich traktować jednakowo.

Ale są przecież ognia, które łączą cały wydział filologiczny i nimi trzeba się z kolei zająć.

Uporządkowanie w czasie określonych wykładów, ćwiczeń i egzaminów nie jest chyba przejawem „biurokratyzowania” studiów uniwersyteckich. Stwierdzenie znajomości gramatyki opisowej jest na pewno słusznym warunkiem przyjęcia studenta na ćwiczenia z gramatyki historycznej, a składanie egzaminów z poszczególnych okresów historii literatury jest również chyba uzasadnionym postulatem dydaktycznym. Wątpliwość natomiast budzą wykłady kursowe. Jasne jest: powstanie podręcznika uniwersytec-

klego historii literatury polskiej sprawi, że wykład kursowy stanie się niepotrzebny. Inna rzecz, że podręcznik taki nie zastąpi prac monograficznych i lektury dzieł, podobnie zresztą jak i wysłuchanie wykładu kursowego nie zwalnia przecież studenta od obfitej lektury. Jak wiadomo, Instytut Badań Literackich przystąpił już do opracowywania podręcznika uniwersyteckiego. Od tego, kiedy się on ukáže, zależy rezygnacja z wykładów kursowych na polonistyce. Wydaje się jednak, że wcześniej z nich rezygnować nie byłoby wskazane. Można by jedynie mówić o nowym ujęciu wykładu kursowego. Może on zrezygnować z dokładniejszego omówienia problemów, które znalazły już nowe oświetlenie w pozycjach monograficznych, może stanowić formę ogólnej syntezy, natomiast w wielu wypadkach niech wykładowca odświeży słuchaczy do rozpraw i studiów, gdzie znajdują oni gruntowniejszą charakterystykę i właściwą ocenę pisarza i jego twórczości.

Sprawą dyskusji jest wykład poświęcony literaturze powszechnej. Obrócić literaturę powszeczną w uniwersyteckim wykładzie przedstawia poważne argumenty. Student filolog, który ze szkoły średniej wyniósł bardzo słabą znajomość arcydzieł literatury światowej, powinien się z nimi zaznajomić za pośrednictwem wykładu i w oparciu o lekturę wybranych utworów. Egzamin niechaj będzie sprawdzianem lektury i ogólnych wiadomości, potrzebnych każdemu filologowi. Sprawa że zorganizowanego egzaminu z literatury powszechnej dotyczy strony organizacyjnej zagadnienia, a nie jego istoty. Przeciwnicy wykładu z literatury powszechnej zajmują inne stanowiska. Ich argumenty znajdziemy w artykule Jerzego Adamskiego: „zlikwidować ogólny wykład kursowy i zastąpić go raczej odbywanymi — różnymi dla różnych specjalności — seminariami, których zadaniem będzie sprawdzenie stopnia opanowania materiału, wyjaśnić jego związek z głównym fachowym przedmiotem studiów, wyjaśnić i krytycznie naświetlić wynikającą problematykę”. Słowem przerzucić akcent na samodzielną, analityczną pracę studenta, a zrezygnować ze zdobycia ogólnej powierzchownej orientacji w całości materiału. Dorzucają oni jeszcze dodatkowy argument, że trudno o „specjalistę”, który by się orientował dobrze w tak bogatej, różnorodnej problematyce literatury powszechnej.

Obie strony przeciwstawiają sobie poważne racje, wymagające głę-

szego przemyślenia. Z pewnością dla przyszłego badacza naukowego praca seminaryjna nad wybranymi utworami z literatury powszechnej, związanymi z ośrodkiem jego zainteresowań głównych, przyniesie mu więcej korzyści, aniżeli wysłuchanie wykładu kursowego. Z drugiej jednak strony trzeba znaleźć takie środki dydaktyczne i wychowawcze, które by zagwarantowały znajomość i zrozumienie najważniejszych zjawisk literatury światowej przez przyszłych nauczycieli i wychowawców.

Poważnym zagadnieniem dydaktyki uniwersyteckiej jest przeciążenie młodzieży, przeładowanie lekturą, nie związaną bezpośrednio z „przedmiotem” głównym. Jest rzeczą niewątpliwą, że studenci filologii polskiej skarżą się, że nie mają czasu na czytanie literatury polskiej, ponieważ obowiązująca ich lektura z tzw. przedmiotów pobocznych (np. ekonomia) jest obszerna i trudna. Pod tym względem rewizja programu nauczania powinna iść w dwóch kierunkach: należałoby się zastanowić, z jakich przedmiotów wykładowych można by zrezygnować oraz w jakim stopniu trzeba by ograniczyć zakres wymagań z przedmiotów pobocznych. Dokładnie przy tym należałoby zbadać, czy pewne rzeczy nie powtarzają się w różnych wariantach (na wykładach i ćwiczeniach marksizmu-leninizmu, materializmu historycznego, ekonomii politycznej).

Program lektury obowiązującej studenta filologii na danym roku musi się liczyć z jego realnymi możliwościami i musi być uzgodniony co do ilości pozycji przez wszystkie dyscypliny.

Uniwersytet nie jest tylko Wyższą Szkołą Zawodową, ale jest również instytucją naukową. Podkreślił to z całym naciskiem Zjazd Rektorów i Dziekanów w kwietniu ubiegłego roku. Fakt ten zobowiązuje do tego, żeby Wydział Filologiczny podobnie jak inne wydziały, żył atmosferą pracy naukowej, która by nie ograniczała jedynie profesorów i asystentów, ale która by przenikała również życie studenckie. Jeżeli zjawisko to nie jest jeszcze powszechne, a obserwować je możemy dopiero w zaleźkach, to przyczynę tego są bardzo różnorodne. Przede wszystkim profesorowie, jak się wyraził jeden z wybitnych uczonych, są „rozrywani”. Uczestnicząc w zebraniach Akademii Nauk, posiedzeniach Komisji Ministerstwa Szkół Wyższych, przygotowując terminowe prace dla Państwowego Wydawnictwa Naukowego, biorąc u-

dział w pracach społecznych, odrywa się od normalnego toku pracy naukowej, od procesu dydaktycznego, kontakt ich ze studentami się rozluźnia z wielką dla nich szkoda. A wiadomo dobrze, że profesor dostarcza bodźców do twórczej pracy naukowej, zapładnia umysłowo, kieruje uczniem, przestrzega przed błędami. Istnieje słuszny postulat dydaktyczny: niechaj już na pierwszym roku studiów studenci nawiążą bliższy kontakt z profesorami nie tylko za pośrednictwem wykładu. Niechaj u progu pracy uniwersyteckiej spotykają się z poważnymi autorytetami naukowymi, niechaj poznają „smak” pracy badawczej dzięki obcowaniu z pracownikami nauki najwyższej klasy. W praktyce jest to postulat trudny do zrealizowania. Ograniczony czas profesorów z natury rzeczy przeznaczony jest dla studentów lat starszych. Niemniej jednak postulat jak najściślejszego kontaktu profesora ze studentami należy uznać za najpilniejszy, gdy mowa o kształceniu młodych pracowników nauki i wytworzeniu atmosfery naukowej w zakładzie. Pisał kiedyś pięknie Tadeusz Kotarbiński: „główne bowiem zadanie wychowawczy-mistrza polega na tym, by uczniowi na przykładzie własnej stylowej pracy pokazać wzór indywidualnego mistrzostwa. Niech patrzą na ten wzór aż do zapamiętania się, wtedy go przejmą. A potem wyrosną zeń i nawet może przeciwstawią się ostro. Osobowość bowiem kształci się w walce ze stylem przebytej szkoły”.

Innym ważnym momentem umożliwiającym rozwój samodzielnego aktywnego stosunku do pracy naukowej jest danie młodzieży pewnego luzu czasowego. Studia filologiczne w odróżnieniu od studiów eksperymentalnych polegają głównie na lekturze. A na lekturze, na przesiadywaniu w bibliotekach studenci muszą mieć czas. Zwalczamy werbalizm, ale konsekwencje walki o werbalizm jest kontrola znajomości faktów z historii literatury i umiejętności ich interpretacji. Zasada „non multa sed multum” obowiązuje również w studiach uniwersyteckich, nie mniej jednak z określonego minimum znajomości faktów literackich zrezygnować nie wolno.

Przejsie od trzyletniego studium uniwersyteckiego do czteroletniego jest poważnym krokiem naprzód w kierunku podniesienia powagi dyplomu uniwersyteckiego i umożliwienia studentowi zelnienia się z samodzielną pracą w postaci pracy

magisterskiej. Jednakże na podstawie dotychczasowego doświadczenia wydaje się, że roczny okres przeznaczony na pisanie pracy magisterskiej przy dotychczasowym obciążeniu studenta wieloma zajęciami nie wystarczy na przygotowanie rzetelnego studium, odznaczającego się znanomami prawdziwej twórczości. Już przed przystąpieniem do pisanie pracy magisterskiej student powinien być się zelnką z warsztatem pracy naukowej, najlepiej za pośrednictwem słuchania wykładu monograficznego z epoki, która go najbardziej interesuje. W praktyce z tego rodzaju wykładami student styka się dopiero na czwartym roku, kiedy praca magisterską zaczyna pisać.

Działalność kół naukowych wymaga ożywienia, które może nastąpić wtedy, kiedy studenci będą dysponowali większą ilością czasu, a katedry otoczą je troskliwą opieką. Wdruzenie studenta do samodzielnego pracy należy do najpilniejszych zadań uniwersyteckich. Oczywiście, nie da się ono zrealizować w trybie rozporządzenia administracyjnego. Wypracowanie lepszych metod dydaktycznych w prowadzeniu ćwiczeń i seminarium pomogą sprawić, ale jej nie załatwi. Wydaje się, że najważniejszą przeszkodą stanowi tu brak czasu, który uniemożliwia oddanie się trudowi badawczemu. Z tym wiąże się bardzo ściśle odpowiednia atmosfera zakładu, w którym student pracuje. Atmosfera taka powstanie, kiedy profesorowie i asystenci będą jak najmocniej związani z zakładem. Niech zakład „żyje” problemem naukowym, a zebrania naukowe katedry niechaj stanowią kuźnię, w których dyskutuje się nowe pomysły twórcze i poddaje analizie krytycznej wyniki badań. Niechaj z pracowni uniwersyteckiej wyjdzie seria prac naukowych, na które by złożyły się zarówno prace profesorów, asystentów jak też najlepsze prace magisterskie. Odrośnienie drukiem najwybitniejszych prac magisterskich, lub jak to proponował jeden z kierowników katedr, choćby krótkich streszczeń, stanowiłoby dla studentów bodziec, popychający ich do intensywniejszego wysiłku.

Jest rzeczą bezsporną, że wykształcenie przyszłego nauczyciela nie może się opierać jedynie na praktycznym przygotowaniu do zawodu. Powinien on wynieść z Uniwersytetu rozbudzone zainteresowania naukowe, które by motywowały mu w jego dalszej pracy zawodowej. Wtedy dopiero przekaze on

(Dokończenie na str. 7)

LISTY DO REDAKCJI

Więcej samodzielności w studiach

Student niechętnie słuchają wykładów kursowych np. z historii literatury, ponieważ to co słyszą na wykładzie mogą przyswoić sobie z podręcznika dla szkoły średniej (który, jak wiadomo, jest zbyt obszerny dla ucznia, dla studenta za mało szczegółowy). Wykład uniwersytecki nie przekracza ogół ram tego podręcznika, polewając w czasie przeznaczonym na wymieniony wykład nie więcej powiedzieć się nie da. Zupełnie podobnie wygląda sprawa wykładów z marksizmu i ekonomii.

Wykładowcy streszczają, lub wprost powtarzają prace dostępne w wydawnictwach książkowych. Student natomiast przez cały dzień biega z wykładu na wykład, a kiedy znajdzie się na ćwiczeniach czy seminarium również czeka na jakąś „wiedzę gotową”, ponieważ nie miał czasu przeczytać obowiązujących i zaleconych pozycji, a już prawie nigdy czasu nie starcza, aby przeczytać cokolwiek z własnej intrygi. Dlatego seminaria stają się martwe. Seminarium często zamienia się w monolog profesora. Ćwiczenia z marksizmu i ekonomii zamieniają się w streszczenie przez studentów poszczególnych rozdziałów omawianych książek, wierne cytowanie, opowiadanie sztuki powtarzenia, którą to umiejętność wykształcać powinna szkoła podstawowa i średnia.

Zajęć uniwersyteckich, których nie wolno opuszczać, jest bardzo wiele (na pierwszym, drugim i trzecim roku polonistyki od 28 do 34 godzin tygodniowo), między zajęciami są tzw. „okienka”. Przeważnie w „okienkach” robi się zebrań. Narada produkcyjna grupy, narada produkcyjna roku (poprzedzona zebraniem przygotowującym), zebranie grupy ZMP, zebranie koła ZMP, zebranie grupy ZSP, zebranie przygotowujące do eliminacji artystycznych i konkursów artystycznych. Te obowiązują każdego prawie studenta.

Z wykładu na zebranie, z zebrania na wykład, stąd na ćwiczenia, z ćwiczeń na seminarium. A czasem równocześnie wykład i 2 zebrania! Aktywności uniwersyteckich należy podziwiać, należy im stawiać pomniki za „bardzo dobre” w indeksie połączone z nieprawdopodobną ilością zebrani (aktywista prócz normalnych zebrani ma jeszcze zebrań, konferencje, odprawy aktywu, kolektywu, komisji zespołu, zarza-

du). Sprawę zebrani i problem tzw. „choinek”, czyli tych, którzy obwieszeni pięcioma funkcjami muszą być na 10 zebraniach tygodniowo, muszą rozwiązać młodzieżowe instancje organizacyjne. Organizacja na uniwersytecie musi się raz wreszcie zdecydować na definicję studenta: student — człowiek, który studiuje. Walka o pełne naukowe marksistowskie przygotowanie studenta powinna być hasłem naczelnym wyższych uczelni. Tego nie da się zrealizować bez dużego wysiłku studenta, bez samodzielnego zgłębiania tekstów zarówno z dziedziny literatury pięknej jak marksizmu, ekonomii, historii WKP (b), jednym słowem bez studiowania.

A na studia musi mieć student czas. Obok zreformowania pracy organizacyjnej na uczelni, wydanie mi się, mogłaby tu pomóc zmiana programu. Czy wykłady kursowe na polonistyce rzeczywiście są w tej chwili potrzebne? W czasie słuchania wykładów tego typu student nie ma możliwości przemyślenia treści tego co usłyszał. Gorzej, wydaje mi się, że wystarczy nauczyć się notatek z wykładu, by zdać egzamin. Bo przeciętny student nie studiuje, tylko uczy się. Wydaje mi się, że praca studenta humanistyki winna polegać na samodzielnym przestudiowaniu tekstów i dyskusowaniu ich zawartości czy problemów wybranych na ćwiczeniach i seminarium. Seminarium winno stać się ośrodkami rozwijania się samodzielnego, krytycznej myśli badawczej. Opanowanie wiedzy podręcznikowej winno być początkiem pracy studenta, a nie jej uwięzieniem. Na seminarium i ćwiczenia winien mieć prawo wstępu tylko student, który ma odpowiednie, samodzielnie zdobyte przygotowanie. Przygotowanie to zdobywa się dużo szybciej i w szerszym zakresie przez studia indywidualne niż przez słuchanie wykładów.

J. Adamski, który zapoczątkował dyskusję, niesłusznie omawiał sprawę wykładów kursowych na przykładzie wykładu z literatury powszechnej. Wydanie skryptu pod wykładem jest sprawą specjalnie trudną. Znalazienie odpowiednich materiałów nie jest łatwe dla studenta I i II roku. Co najważniejsze, wykład ten nie jest poparty żadnym seminarium. Bez podręcznika, bez skryptu, bez wykładu student sam nie da sobie z tym przedmiotem

radę. Tam jednak, gdzie istnieje podręcznik, monografia, opracowania, materiały (ekonomia), gdzie istnieje skrypt (lub nareszcie istnieje powinien), tam należy dać studentowi możliwość samodzielnego pracy, a nie mechanicznego niemal przyswajania rzadko atrakcyjnych wykładów.

Czy z tego wynika, że wykłady są w ogóle niepotrzebne? Nie. Pozostaje bowiem jeszcze sprawa wykładów monograficznych. Tych jest na filologii niewiele. A wykład monograficzny daje studentowi możliwość tworzenia i rozwijania własnych zainteresowań. Wykład monograficzny wygłasza profesor, który się specjalnie danym problemem zajmuje. Myślę, że wykład monograficzny jest pracą ciekawą i dla studentów i dla profesora. Z omówionymi tu sprawami wiąże się jak najściślej sprawa kół naukowych. Na zebrania koła naukowego brak już czasu, o przygotowaniu się na dyskusje organizowane przez koło nie ma mowy, gdy brak czasu, by przygotować się na zajęcia obowiązkowe. Uczenie się a nie studiowanie nie rozwija żadnych zainteresowań, w tej sytuacji koła naukowe są jeszcze jednym martwym seminarium.

Studenci nie raz poruszali te sprawy na naradach produkcyjnych, rozmawiali między sobą, wreszcie przyzwyczaili się. Już piąty rocznik rozpoczyna studia tego typu. Czas zrewidować program studiów. Wszyscy rozumiemy, że dotąd były różne trudności (brak wykładów), że nie było łatwo piek lat temu wydać wszystkie skrypty, nie było podręczników, materiałów. A chodziło o to, by w możliwie krótkim okresie czasu (studia 3-letnie) stworzyć przygotowaną wszechstronnie kadę nauczycieli. Ale teraz sytuacja zmienia się. Setki naszych kolegów poszły pracować do szkół. Brak nauczycieli języka polskiego nie jest taki wielki jak wielkie są braki w przygotowaniu wyprodukowanych przez uniwersytet polonistów. Wydaje mi się, że nowe kadry nauczycieli mowy i literatury ojczystej muszą być lepiej przygotowane, jeżeli inaczej ma wyglądać egzamin dojrzałości w szkole średniej, jeżeli polonistyką ma przygotować przyszłych pracowników nauki.

Krystyna Walicka

studentka filologii polskiej UW

Chcemy być fachowcami!

Artykuł J. Adamskiego w 48 numerze „Nowej Kultury” wywołał po prostu falę dyskusji, stał się przedmiotem wielu, wielu prywatnych rozmów wśród studentów. Rozmowy te na razie miały charakter wyłącznie prywatny... a wynikało z nich jedno niezbieżne: mianowicie to, że autor ma całkowitą słuszność w poruszonej przez siebie kwestii.

Asystent Adamski poruszył najbardziej żywotną kwestię w życiu uniwersyteckiej humanistyki, kwestię, która od dwóch przynajmniej lat wymaga rewizji i niektórych zmian. Kwestia jest nader poważna, dlatego też wydaje mi się słusne, że jeżeli będę poruszał niektóre problemy wspomniane już w artykule J. Adamskiego, to będę robił całkiem świadomie, w celu naświetlenia ich od strony studentów; wychodzę bowiem z tego założenia, że krytyka buduje. A że w tym co piszę, nie ma ani krztyny przesady, postaram się to wykazać na materiale faktycznym.

Reforma studiów humanistycznych (chodzi przede wszystkim o sekcję Wydziału Filologicznego) postawiła sobie za cel zorganizowanie „studiów fachowych, wszechstronnie i głęboko przygotowujących do zawodu...”

Ogólne założenie najpóźniej słuszne, potrzebne. Przypatrzmy się jednak od strony słuchaczy realizacji tego założenia.

Fachowość studiów rozumiem w ten sposób, że maksimum wolnego czasu (którego zostaje nam minimum) poświęca się specjalności przez siebie obranej, a więc w naszym przypadku literaturze i językowi. Tymczasem w praktyce owa „fachowość” wygląda tak, że na 40 godzin tygodniowo, rozstrzelonych po całym dniu zajęć, przypada aż 12 godzin zajęć fachowych. Uciiera się zatem — nieco paradoksalnie — prawdę — powiedzenie, że (przykładowo) język francuski będą znali w równie niedostateczny sposób z romanistami — fachowcami wszyscy studenci uczęszczający na lektoraty języka francuskiego, specjalizujący się np. w filologii rosyjskiej, angielskiej itp. O tych ostatnich można powiedzieć to samo.

W takich warunkach o fachowości nie może być mowy. Po co zatem wprowadzać np. na II roku filologii romańskiej takie zajęcia, jak elementy nauczania języka francuskiego, skoro wielu studentów

tegoż III roku ma zaledwie zbliżone pojęcie o samym języku. Romanści III roku najmniej zajmują się (z braku czasu) językiem francuskim, literaturą, gramatyką, a studiują — wszystko inne. Czym więc popiszą się w przyszłości przed klasą uczniów? Własnymi błędami, które popełniają w języku i niezrozumieniem przedmiotu (tak przynajmniej mogę powiedzieć o sobie, chociaż indeks mój należy pod względem ocen do lepszych).

Teraz o czym innym.

Czyż student zajęty wysłuchiowaniem wykładów od godziny 8 rano do 16, 18 lub 20 wieczorem, wykładów różnorodnych, zdolny jest fizycznie i duchowo do pracy samodzielnej? A gdzie czas na kształcenie samodzielnego krytycznego? A gdzie czas na lekturę tekstów? A faktem jest, że... na trzecich latach filologii UW w bieżącym roku akademickim wykładła się równoległe cztery literatury: powszechnej, polską, radziecką i francuską (w przypadku romanistów). Literatura, jak wiadomo, ma to do siebie, że bez znajomości dzieł objawienie suchych faktów w formie 3 lub 4 godzin wykładów prowadzi w konsekwencji do wiedzy encyklopedycznej (encyklopedycznej w tym sensie, że student wie o danym pisarzu tyle, albo i mniej, ile na ten temat mówi np. podręcznik leksykon Arcta). Jakiej zatem można spodziewać się znajomości utworów literackich od przyszłych filologów?

Wszystko można w tym wypadku zrobić: przeczytać streszczenie, analizę utworu (z wyjątkiem — samego dzieła (niekiedy dwu- lub trzytomowego). Skutkiem tego przeładowania i braku planowości panuje wśród ogółu studentów zniechęcenie, spadek zainteresowania i zamiast pracować sumiennie (w myśl zasady studiów „fachowych”) studenci ograniczają się jedynie do biernego wysłuchania wykładów i zastanawiania się nad tym, w jaki sposób zaliczyć najbliższy egzamin.

Z paradoksów panujących na humanistyce zacytuje taki, że kanon lektur z literatury powszechnej przewidyuje więcej pozycji z literatury francuskiej, niż kanon literatury francuskiej.

Warto krótko wspomnieć, że humanistyka nie jest dyscypliną wymagającą tytułu ćwiczeń, co np. nauki przyrodnicze lub matematy-

czne. Tam patrzy się przez lupę na preparat i to są ćwiczenia. Tu natomiast ćwiczenia muszą być przygotowane samodzielnie, na podstawie dzieł, podręczników, słowników, ale przygotowane kiedy?

Odpowiedź: chyba podczas wykładów.

Humanistyka powinna polegać przede wszystkim na pracy samodzielnej: znajomości dzieł, marksistowskiej krytyki i interpretacji (tu sfera działalności dyscyplin pomocniczych), znajomości języka obcego — przedmiotu studiów, którą można osiągnąć wyjątkowo przez pracę ze słownikiem i tekstem, a więc pracę samodzielną, która winna z kolei stać się podstawą ćwiczeń, konwersatoriów itp. Wiadomości, które uzyskuje się obecnie na wykładach, można nabyć samodzielnie, przy niewspółmiernie mniejszym nakładzie czasu i energii mówiącego i słuchających, a wyegzekwować od studenta w formie częstych a obowiązujących konsultacji.

Warto przy okazji wspomnieć o braku ładu i planowości w wydawaniu skryptów. Po co wydawać np. skrypt z gramatyki arabskiej lub języka włoskiego dla tak ograniczonej ilości specjalistów, skoro nie wydaje się skryptu z literatury powszechnej dla setek słuchaczy zamiast 5-semesterowego wykładu?

Asystent Adamski pisze o słabym poziomie dyskusji na ćwiczeniach. Przez cały czas ćwiczeń (np. z literatury) wielu słuchaczy myśli przecież o tym, kiedy asystent przestanie od nich wyciągać wiadomości, których oni z racji wspomnianych wyżej względów nie nabyli.

Chcąc zatem zarządzić pewnym nieporozumieniom humanistyki uniwersyteckiej należy przemysleć tę sprawę. Nasza przyszła literatura, krytyka, całe nasze życie intelektualne i pedagogiczne w tej dziedzinie będzie udziałem przede wszystkim humanistów. Chcąc zatem sprostać temu pełnemu poważnej i odpowiedzialności zadaniu, trzeba nabyć rzeczywiście fachową wiedzę, być wszechstronnie przygotowanym, być rzetelnym fachowcem, być marksistą. Trzeba tę kwestię rozwinąć z uwzględnieniem głosów krytyki nie tylko ze strony wykładowców, ale także ze strony słuchających, bo o nich głównie chodził w tej chwili.

Lech Niekraś

student filologii romańskiej UW

ADOLF RUDNICKI

Spóźniona gałązka bzu

W żaden sposób nie mogł znaleźć domu, którego szukaliśmy na ulicę Z a S t r u g i e m, zarwańskiej, wijącej się w górę, o dziko rozrzuconych „numerach”, których było mniej niż zakrętów i drzew, głębokonocnej, choć dochodziła zaledwie dziwna, oślepiająca śnieżniem, syjącym dużymi mokrymi płatami. Świat zdawał się dobiegać końca za horyzontem o nieprzeniknionej czerni. Gazda w milczeniu popychał pudło sanek. Już dwa razy wstępował do ciemnych chałup, gdzie długo i tajemniczo zdobywał adres, na którym nam zależało: szukaliśmy rzeźbiarza Kenara. Kenar nie mieszkał w tych stronach, ale gdzieś tutaj mieszkał ktoś, kto mógł nas do niego zaprowadzić. Od kilku godzin w kostnicy zakopiańskiej leżały zwłoki Juliana Tuwima, chodźło b zrobienie maski pośmiertnej, czas w takich wypadkach odgrywa rolę, rysy się psują, więc należało się śpieszyć i stąd ta eskapada z Sewerynem Pollakiem na głuchą uliczkę Z a S t r u g i e m.

Choć lekarze uznali stan serca poety za zadowalający i doradzali mu nawet podróż, po przyjeździe do Zakopanego nie czuł się zbyt świetnie. W Wigilię jakby nagle przebudzony miał zawołać: Boże, po cośmy tu przyjechali. Czy nie byłoby nam lepiej w Aninie? Wyjeżdżaj stąd jak najprędzej, jedźmy — do Łodzi! Agorafobia była powodem, iż nawet tak drobne odcińki jak z Europejskiej do Kmicica przebywał w samochodzie, który w pewnych punktach miasteczka sterzał jak sztyl. W niedzielę 27 grudnia na godzinę przed zgonem poety był jeszcze w Kmicicu, w klubie oddanym niedawno do użytku przez Orbis. Tego dnia czuł się źle i nie zszedł do obiadu na ogólną salę. Gdy krótko potem pani Tomaszewska, lekarka, która w Halamie spędzała święta, przybiegła z pomocą, stwierdziła zgon na skutek wylewu krwi do mózgu; ulatnił się przy tym charakterystyczny w podobnych wypadkach paraliż lewej części twarzy. Okazało się, iż Halama nie posiadała ani strzykawki, ani koraminy, nic z rzeczy niezbędnych w nagłych wypadkach. Gdy rozszedła się wieść o zgonie, egzektowała partii w Zakopanem postanowiła oddać honory reżytkom doczesnym poety przed ich eksportacją do Warszawy.

Dobiliśmy wreszcie do człowieka z adresem. Zabrawszy go ruszyliśmy do Kenara w śnieg omący bez przerwy. Beret to najgłupsze nakrycie głowy w śnieg; pozabawiony daszka, nie daje żadnej ochrony, byłem zupełnie ślepy. Ten szalejący śnieg padał pierwszy raz w tym roku. Cały grudzień był deszczowy, żgnity, ciemlawy, niżowy, grypowy, trujący. Gdy szóstego zmarł Gałczyński, a pogoda pozostała nadal bez zmian, bez nadziei na śnieg, którego nie wróżyła żadna stacja meteorologiczna w Europie — z Kasprowego nadchodziły wiadomości o temperaturze powyżej zera — każdy z nas czuł się o krok od grobu. Ilość wizyt w ambulatorium związkowym wzrosła w stopniu niespotykanym nawet w środowisku tak przeczułym jak środowisko p'isarzy. Po Gałczyńskim nastąpił okres niespokojnego wyczekiwania: równo w trzy tygodnie później umarł Tuwim.

Okazało się, iż rzeźbiarz Kenar jest ciężko chory. Wobec tego zdecydowaliśmy się na rzeźbiarza Chyłę, do którego potem pojechał Seweryn Pollak. Było późno i Chyłę postanowił przystąpić do pracy nazajutrz z rana. Wyrzali przytem słuźną obawę, iż o tak późnej porze mogą nie wpuścić go do kostnicy. Rzeźbiarz prosił jeszcze o

przygotowanie mu alabastru. Nazajutrz Chyłę i Pollaka do kostnicy wpuszczono dopiero po czynnościach komisji z Krakowa, która jako przyczynę śmierci ustaliła pęknięcie serca. Dwaj nasi poeci zmarli w grudniu podobną śmiercią. Po orzeczeniu komisji Chyłę mógł przystąpić do zdjęcia maski; był pełen podziwu dla jej urody kostnej.

II

Gdy komisja skończyła to co do niej należało, przed kostnicą pojawił się samochód, z którego wysiadł człowiek nieznanym nikomu z obecnych. Pokłoniwszy się poecie powiedział głośno trzy końcowe stroki wiersza D o l o s u, poczem szybko odjechał; świadków tego zajścia przeszło mrowie. Opowiadano mi potem, że w Warszawie wle działo się sporo scen podobnych; ich opis pozostawiam świadkom naocznym, zrobia to lepiej ode mnie. Zakopane — śmierć poety przyjęło martwo, mówię o Zakopanem przyjeźdźnych, których ilość pod koniec roku jest zawsze znaczna. Ci świadkami rzeczy ludzie, kochający przyjemność, przyjeżdżają z określonym programem i nieważko dadzą się odwieść od swego programu. Nie widziałem ludzi wzruszonych. Do trumny podchodził t y l k o z zaciekawieniem. — Albo to nowina dla nas śmierć? — powiedział mi pewien aktor. Silniej niż w innych odbija się w tych słowach jedna z tych twarzy ludzi w kraju, z którą trzeba walczyć z „wszystkich sił.

Seweryn Pollak opowiadał mi, że poeta bezpośrednio po zgonie miał twarz cierpiącą, dramatyczną. W trumnie wystawionej w gmachu Przyjaźni Polsko - Radzieckiej miał już twarz spokojną, niezmaczoną niczym złym, bez cierpienia, uśpioną. Rece miał przezroczyście, był drobny, wyschnięty, płasi.

Przed wyprowadzeniem zwłok przysłała młodzież szkolna, delegacje, sportowcy, narciarze, wspinacze wysokogórscy ze zwojami lin. Prawdopodobnie nie wszyscy wiedzieli komu oddają hołd: parę Orkisz, który na gruncie zakopiańskim zajmował się pogrzebem, mówił do końca: T u w i m. Nie szkodzi; wrociwszy do domu, sięgną po książki i wtedy się dowiedzą.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie wiedzieli. 27 grudnia 1953 roku ja także nie wiedziałem kogo utraciliśmy.

III

W wielu wspomnieniach spisanych zwłaszcza przez poetów średniej generacji mowa o ośnieniu. Moje młode ośnienie nie było związane z Tuwimem. To stwierdzenie dotyczy moich lat przedwarszawskich, przedpisarskich. Potem w Warszawie gatunek sławy Tuwima, styl życia, pieniądze, kabarety wręcz odręcały mnie od niego. Niech się żadnemu pisarzowi nie wydaje, iż czytelnik kiedykolwiek przestaje mu patrzeć na ręce. Moje młode przedwojenne serce było nietolerancyjne, krątkowe, sekcjarskie o szalonych wymaganiach. I dzisiaj zapewne pełno wokół nas takich młodych, sądzących serc, żądających nie wiadomo czego, które, ale mając o tym

pojęcia, na przemian to cleszymy, to ranimy boleśnie.

Podobnie jak większość ludzi od najmłodszych lat miałem rozwinięty gruczoł przekory. Tuwim był zbyt głośny, aby mógł mi się podobać. Trąbiący na trąbach muszę się liczyć z tym, że do pewnego odsetka ludzi ich trąby nie dojdą. Są ludzie, którzy nie sięgną po tekst dlatego, że za dużo się o nim trąbi, zdyskwalifikują go na ciemno.

Nie przekreślałem Tuwima na ciemno, czytałem go, ale — mój Boże! Czytanie to jedna z najtrudniejszych sztuk, inaczej nie byłoby stałe tylu omylek. Czytać winno się całym życiem, ale nie zawsze można, nie zawsze własne życie wystarczy. Piszący może być o wiek dalej. Nachylając się nad Tuwimem odnajdywałem w nim tylko to, z czym przystępowałem do czytania: stałe uderzanie w pedał, krzykliwość, brak niuansowości, prostactwo uczuć, nawet język nie podobał mi się. Własnym butem zabiłbym tego, kto by mi powiedział, iż motorem mojej niechęci może być zawiść; młode serce nie przyjmują takich tłumaczeń.

Mój stosunek do Tuwima już nie zmienił się za jego życia. Sporo ładnych rzeczy naopowiadano mi o nim w Ameryce. Zwycię mam ucho dla życia heroicznego, życia pod prąd, tym razem byłem głuchy. W roku 1948 poeta przysłał mi list pełen ważkich słów, ale i tego listu nie pokwitowałem. Dwudziestego siódmego grudnia czulem tylko smutek śmierci.

Jednakże ta śmierć nie odchodziła ode mnie. Przez cały czas pobytu

tu w Zakopanem czulem jej ciężar, uciskała mnie co noc. Być może, iż odczuwałem ją dotkliwie dlatego, iż śmierć pisarza odsłania nie tylko jego życie, ale i życie pozostałych, oczyszcza je, żąda r a c h u u n k u, stawia na nowo sprawę d z i e ł a, odcina grubą kreską sprawy nieważne od ważnych. Zwłoki odjechały, ale wracały co dzień we wspomnieniach, artykułach, uroczystościach zapelniających szpalty pism. Pod presją tych pudów druku sięgałem po raz po wiersze; c'najdważniej w nich tylko to co dawniej. W żadnym z licznych artykułów nie znalazłem nowej złotej nitki.

IV

Warszawa jeszcze dźwięczała echemi śmierci, gdy w dwa tygodnie później wróciłem z Zakopanego. W niewiele godzin potem zaszedłem do poety N. Natkowskiego na opinię we wszystkich punktach przeciwną mojej, zastrzyłem jeszcze zarzuty przeciw poezji Tuwima. Krótko potem rozgrzaną rozmową, napompowany innym widzeniem, zeszedłem do siebie o piętro niżej. Po raz nie wiedzieć który w ostatnich czasach sięgnąłem po N o w y w y b ó r w i e r s z y wydany przez Czytelnika. Przez dwa następne dni nie ruszyłem się z domu. Czytałem od początku do końca, potem znów od początku, potem wciąż na nowo powracałem do wierszy, które silnie mnie uderzyły.

Jak to się dzieje, że pewnego dnia dostrzegamy nagle to, czego nie widziliśmy przez wiele lat?

W jaki sposób staje się możliwe, iż ośniewa nas coś, co dotąd odpychało? W jaki sposób się to dzieje, iż na każdej stronie pewnego dnia zaczynamy odnajdywać odwrotność, zaprzeczenie naszego długoletniego uporczywego, niewzruszonego sądu? W jaki sposób poeta, który po wszystkie czasy miał być obcy, może się objawić nagle jako człowiek bliski, jako ktoś przemawiający tak własnie jak samemu chciałoby się mówić, twoim rytmem, twoją składnią, twoim stylem? W jaki sposób dzieje się, iż coś, co całe życie wydawało się czarne, zaczyna uderzać bielą? Jak to się dzieje, iż pewnego dnia odnajdujemy najczystsza muzykę tam, gdzie do tej pory łąrywał krzyk?

Przeżyłem niezwykle dni! W aurze nadal żywej śmierci — z żywym i martwym Tuwimem w oczach, zachwyt mój nad lekturą rósł a wraz z nim rósł żal, iż ten zachwyt nie będzie już nigdy przekazywany, żal z powodu własnej ułomności, która w człowieku ma tysiąc twarzy. W aurze „przecięcia snu z wiecznością" coraz silniej odurzały mnie wiersze z R z e c z y C z a r n o l e s k i e j, B i b l i i C y g a n s k i e j i T r e ś c i G o r e j s k e j. Gdy w wierszu N i e z n a n e D r z e w o

Gdzie jesteś drzewo mocne i dumne
Rozróżnione liśćmi szumne,
Wzleliśmy korzeni zrosłe w ziemi,
Drzewo, z którego będę miał trunkę?

Muszę cię poznać, w korę zastukać,
Po lasach wolać, po borach huknąć.

dochodziłem do słów

Gdzieżżeś tajemne drzewo trumienne?
Twój naręczony przyszedł cię szukać.

zamykałem książkę. Bałem się tego szalonego miejsca. Wiąże ona rzeczy, których jasny codzienny umysł nie chce widzieć związanymi.

V

Już nie pamiętam w związku z czyją śmiercią Lew Tolstoj pisał do Strachowa: Nigdy nie widziałem tego człowieka, nie miałem z nim żadnych bezpośrednich stosunków, ale teraz, gdy umarł, pojąłem nagle, że był mi kimś najdroższym, najukochańszym, najbardziej potrzebny... Widocznie ułomność ta właściwa jest nawet największym. Na się człowiek nie może nie i nikogo p r a w d z i w i e z o b a c z y ć, musi czekać na łaskę światła wewnętrznego, to ono dopiero pozwoli mu dojrzeć prawdziwy wymiar zjawiska. Potomni nie mogą się dość nadziwić tej ślepotie współczesnych, ale podczas gdy współcześni mają przed sobą żywą z milionem złodnich błasków, u c i e k a j ą c a r z e k e, potomni otrzymują ją już skamieniałą.

Trzy tygodnie temu w Zakopanem pełniłem straż przy trumnie, jednego z najbliższych i najdroższych mi ludzi w literaturze polskiej. Mówiąc o Tuwimie, od razu słychać: s ł o w o t w ó r c a. To s ł o w o t w ó r s t w o odpychało mnie przez wszystkie lata. Co ono właściwie oznacza? W Zakopanem pod budynkiem Przyjaźni Polsko - Radzieckiej słuchając transmitowanych przemówień złościłem się w duchu: Z n o t e n s ł o w o t w ó r c a! A co tyś ludzi tu zebranych obchodzi s ł o w o t w ó r s t w o? Czy zebrałi s b y u c i e ć k u g l a r z a? P w i e d z i e i m o c y m j e g o s ł o w m ó w i, jakie kryje treści, jakie ś świadczenia! Słowo Tuwima chce być ostatnią stacją ludzkiego doświadczenia, dalej nie ma już szyn, żaden pociąg nie idzie dalej; mówię tu o tym nurcie jego poezji, którego program zawarł w wierszu T r u d. Siła Tuwima leży w tym, że na tej ostatniej stacji mówi słowem pełnym światła i powietrza. Słowo Leśmiana w tych samych rejonach pachnie już za światem, Tuwima — płucami, nerkami, sercem, nami, pełnią naszej małości i wielkości. Na tych szczytach, gdzie nie zdziwiliby nas ręce i nogi okaleczone, skrwawione, Tuwim podnosi je i pokazuje — zdrowe i całe.

VI

„Dziś zdajemy sobie sprawę, że czekaliśmy na Niego dziesiątki lat... Nie wypowiedział się do końca... Drzemaliśmy w Nim wspaniałe obietnice...” — cytuję zdania napisane przez Staffa. Podobne znajdujemy we wspomnieniu Parandowskiego. Mickiewicz nazajutrz po śmierci Puszkina napisał, że poeta rosyjski z a p o w i a d a ł s i ę n i e z w y k l e. Żywi przyjaciele chcieliby, by Staffy był jeszcze tym i owym, stąd podobne zdania; kryła one tęsknotę by dzieło samo stanowiło w sobie ogromną planetę; tę tęsknotę w dniach śmierci przenoszą na tych, których kochała. Choć w chwili zgonu dzieło poety wydaje się nieskończone, gwałtownie przerwane, w krótki czas potem okazuje się ono — mimo wszystko — skończone. Już nie trudno nawet wyłączyć nurt, który potomność znakować będzie imieniem poety.

W ciągu moich dni pełnych zachwytu i żalu widziałem — i nadal widzę dokładnie — ów urzekający nurt w literaturze polskiej, który długo nazywać się będzie: T u w i m.

(Dokończenie na str. 6)

Adolf Rudnicki

JERZY GRYGOLUNAS

Roman ty cz no ś ć

O P O W I A D A N I E

paznokciami i po pierwszych moich zdaniach mówiła:

— Przepszłam pana, muszę już iść.

Obserwowałem smutny, jak jej szczupłe, jeszcze płaskie ciało pomyka schodami na pierwsze piętro, zamieszkałe przez kobiety i pracowników schroniska.

Nie potrafiłem dobrze jeździć na nartach. To zemdliło się: upadłem na zakręcie i zwinąłem stopę. Kiedy turcyli wyruszyli na wycieczki, siadałem przy weneckim oknie panny Małgorzaty. Obok stał stółik pokryty ilustrowanymi pismami. Wzorzyste i beładne, jak u fryzjera, sterty tygodników. Pewnego dnia, wśród pism znalazłem porzucony blok rysunkowy. Małgosia wieczorem rozpytywała o niego. Nawet przede mną przystąpiła i patrzeć w podłogę, szybko, jakby gonilo ją dziesięciu łobuziaków, powiedział:

— Gdyby pan znalazł moje rysunki, to proszę...

Uciekla. Teraz blok leżał na moich kolanach. Gładziłem palcami jego tekturową tezkę. Mogłem zająrzeć do wnętrza. Byłem sam w całym schronisku. Uśmiesznięty, jak złodziej nad głową śpiącego, chwilę wahalem się. Człowiek jest sentymentalny właśnie w tak drobnych sprawach. Był nie było: otworzyłem.

Małgosia miała fantazję. Patrzyła na góry, a rysowała Warszawę pełną drzew, pałaców, ludzi o oczach spokojnych, fontann, tarasów, podmiejskich ogrodów. Ręka jej prowadziła ołówkę jeszcze dość nieudolnie, ale potrafiła każdy rysunek napęłnić życiem i nastrojem dni, które przyjdą. Wszedłem w fantazję dziewczyny. Tam, gdzie mi jej brakowało, sam marzyłem. Feo dziwny spacer nazywałem roman ty cz no ś c i ą.

Człowiek robił wrażenie stropionego. Stał na wielkim placu i rozglądał się niepewnie. Z peronów podziemnego dworca wychodził ludzie, potracali mężczyźni, nikteli w gęstym tłumie miasta. Podróżny turl dłońią siwy zarost twarzy. Patrzył przez zielone strumyki fontanny na białe paśna domów, unosił oczy ku niebu i zatrzymywał na niedziwnym helmie najwyższego pałacu w Warszawie. Usta mężczyzny poruszały się wolno, wargi wydymały, jakby chciały zagwizdać. Obok podróżnego, na walizce siedziała dziewczynka. Miała lat osiem, dziewięć. Trzymał on kurczowo jej wąską rękę. Przechodnie spoglądali nań ciekawie, jakby chcieli rozpoznać źródło tej dziwnej zadumy. Może dziewczynka powiedziała:

— Dziadziu, chodźmy już.

I może mężczyzna nie dołączył głosu swej wnuczki. Przywrócywał go do ogrodu, który swój sad opuścił, gdy drzewa ledwo unosiły gałęzie nad ziemią, a wrócił, gdy wśród gęstych koron dojrzały owoce.

Odożyłem pierwszy karton bloku. Stał na galerii obiegającej wieżę Pałacu Przyjaźni.

Mężczyzna powiedział: — Władcy tamtego świata mają na szczytach drapaczy ozdobione rzeźbami domki, ogrody, fontanny. Słońce, powietrze. Błyskawicznie windy niosą ich, jak z Hadesu na Olimp, z zatrutej benzyny, wielkie-

go, ciemnego miasta. W podniebnych willach i ogrodach mieszkają oni spokojnie, dalsi od życia człowieka, niż władcy feudalni w komnatach średniowiecznych zamków.

Młoda kobieta uśmiechała się. Ciepły wiatr lipca tarzał długie, czarne włosy. Odgarniała je dłonią od grubych brwi patrzyła na lżące u stóp białe miasto.

— Patrz, wierz: to śmieszne, ale wydaje mi się, że my też jesteśmy władcami tego świata.

Mężczyzna przyciągnął kobietę. Pod nim, z szerokiego okna pałacu wylatywała muzyka, wspinała się w górę, otaczała rozmawiających. Słońce zachodziło i pejzaż miasta stawał się złoty, różowy. Dalej leżały kwadraty pól, łąk, ogrodów i lasów. Kobieta i mężczyzna milczeli. Nagie ramiona kobiety były kasztanowe, jak okryte cieniem atyki pałacu.

Trzeci karton przypominał rysunek wycięty z zeszytu uczennicy, którą szybko natchnienie skusiło na pauzie do ujęcia ołówka. Dlatego może kształt jego wydał mi się prawie udany.

Przez fosę otaczającą mury Starego Miasta biegły ku schodkom opalone dziewczęta. Dwóch chłopców przyzywało je ręką, ukazując stronę Barabanki. Na jego tie parskaly cztery konie, zaprzężone do złotego dyliżansu. Podróżni zagnawali miejsca. Powaga ich twarzy graniczyła z komizmem. Kobiet, w krótkich sukniach dwudziestego wieku, siedziały sztywno na drewnianych ławeczkach, poprawiały grzywki w wąskich oknach staromodnego poyrdu, wdrapywały się po schodkach na płaski dach. Mężczyźni podawali im ramie z elegancją zacerpniętą z dawnych romanów. Woźnica czekał na koźle. Miał bat z pomponikami, rude zakręcone wasy i złotą trąbkę na pasku. Dwóch chłopców ciągle jeszcze przyzywało biegnące ku schodkom dziewczęta.

— Pośpieszcie się. Dyliżans zaraz odjedzie.

Widok podczas podróży będzie niezapomniany: czerwone blanki murów, fosy, w których kwitną czodone drzewa, baszty i mosty zwodzone, wieże kościołów, Wisła i parki na Pradze. W kamienne ulice nowoczesnego miasta dyliżans już nie wjedzie: wstydziłby się tysięcy oszklonych samochodów. Tak nie podróżowały nawet praprababki. Cała przyjemność kosztuje złotówkę.

Czwarty rysunek pokazywał Wisłę. Rzeka jakby zmalała. Toczyła zielone wody między granitowymi liniami. Białe marmury posągów pochylały twarze. Wśród nadrzecznego parku siedzieli ludzie, po tarasach chodników spacerowały z dziećmi kobiety, otaczał je zapach Wisły, wilgotny, nastąpił dojrzałymi zbóżami pod Czerskiem i Jabłonną, rybami pływającymi od gór, wodorostami wąskich, wiejskich zatulek. Najbliższy mężczyzna o twarzy wysmagannej słońcem, uśmiechał się do czarnych literak książki. Był tak zacytany, że nie słyszał zbliżających się burzy. Na jego płowych włosach leżały dwie grudki wapna. Widocznie niezbyt dokładnie wykapal się po pracy. Miał białe dlonie murarza. Przewracał kartki książki i co chwila wybuchał śmiechem. Co czytał?

CZYTELNIK

BIBLIOTEKA SATYRY



Spółdzielnia Wydawnicza „CZYTELNIK”

Wiesław Leon Brudziński

PO NOSIE

Ilustr. J. Zaruba

Str. 120

Zł 5.—

Bogdan Rzeziński

DLA KAŻDEGO COŚ CIĘTEGO

Ilustr. E. Lipiński

Str. 144

Zł 8.—

Zofia Bystrzycka

ŁADNE KWIATKI

Felietony satyryczne

Ilustr. Charlie

Str. 156

Zł 8.—

Jon Lura Caragiale

SZCZĘŚCIARZ

Wybór szkiców

Str. 172

Zł 6.—

Gabriel Chevallier

KANDAL W CLOCHEMERLE

Ilustr. M. Wierskowska

Str. 186

Zł 10.—

Stefania Grodzka

OZIOŃEK SATYRYKA

Ilustr. G. Miklaszewski

Str. 172

Zł 10.—

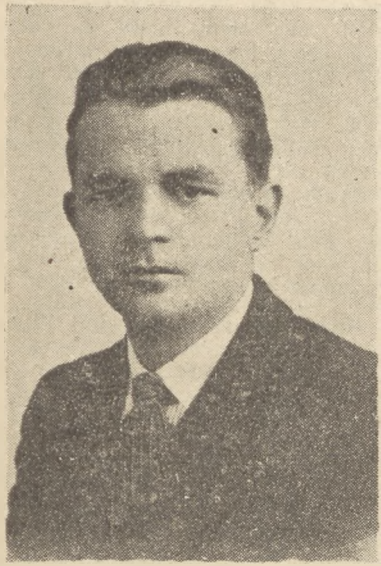
«CZYTELNIK»

K 162-1

ROMAN LOTH

Posiew czerwony

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI EDWARDA SZYMAŃSKIEGO



Edward Szymański

Białe papierki: „Sterbeurkunde”. Karta zgonu. „Der Lehrer Edward Szymański... Data: 15 grudnia 1943. Miejscowość Auschwitz. Oświęcim.

1

Pamiętają go towarzysze walki, ci, z którymi razem usiłował tworzyć jednolity front antyfaszystowski, ci, z którymi brał udział w akcjach protestacyjnych przeciwko procesom komunistycznym w Krynicy i Łucku, ci, z którymi protestował przeciw polityce PPS-owskiej góry. Znamy go z wieczorów autorskich, z akademii. Brał udział w akcjach przeprowadzanych przez organizacje legalne — MOPR, Ligę Obrony Praw Człowieka i Obywatela i in. — z inspiracji i pod kierownictwem KPP.

Zgon w hitlerowskim obozie śmierci zaskoczył poetę w wieku lat trzydziestu sześciu, w pełni sił twórczych. Szymański urodził się 9 września 1907 r. w Warszawie i od pierwszej klasy szkoły fabrycznej przy przedalini Heimana i Kernbauma aż pod koniec uniwersytetu wychowywał się na czerwonej Woli. Tu uczył się życia, tędy wiodły drogi prowadzące poetę do lewicy PPS. Wychowanie domowe i robotnicze środowisko towarzyszyło mu w życiu. Znamy go z wieczorów autorskich, z akademii. Brał udział w akcjach przeprowadzanych przez organizacje legalne — MOPR, Ligę Obrony Praw Człowieka i Obywatela i in. — z inspiracji i pod kierownictwem KPP.

Zmiał trudne już od wczesnego dzieciństwa. Kilkakrotnie zmieniał szkołę, bądź to z powodu niemożności opłacania czynszu, bądź też rzucany przez zawieruchę lat 1914-1918, głód i choroby z Warszawy na wieś i z powrotem. Trudności materialne towarzyszyły mu do ostatniego egzaminu na uniwersytecie. W archiwum uniwersyteckim do dziś leżą podania Szymańskiego o zwolnienie z opłat egzaminacyjnych. Nie lepiej było i potem.

Egzamin dojrzałości złożył w roku 1927 i w tymże roku rozpoczął studia. „Od dawna czulem zamilowanie do literatury i języka ojczystego.” — pisał w motywacji podania o przyjęcie na polonistykę w Warszawie. Studiował pięć lat, ale studiów nie kończył. Już na drugim roku pracuje na pocztę w charakterze „dietańszaka” za 150 zł miesięcznie. Wkrótce zmienia pracę. Kolejno: redaguje „Przegląd Futurystyczny i Kuźnierski”; w Związku Zawodowym Transportowców występuje na maszynie sterty papierków; wykłada w wieczorowej szkole dla dorosłych. Między jednym a drugim zajęciem lata fundusze korepetycjami, zarobkiem doręczym, drukiem swych utworów w wielu pismach. Od roku 1936 zarabia wyłącznie pisaniem, łącząc w ten sposób pracę zarobkową ze służbą społeczną, za taką bowiem uważał całą swoją poezję.

Ze wzrostem czarno — brunatnego niebezpieczeństwa. Szymański całe swoje siły rzuca do walki z faszyzmem. Jako jeden z pierwszych podchwytuje rzucone przez KPP ha-

sło jednolitego frontu antyfaszystowskiego i rozpoczyna je realizować na terenie literatury. W dyskusji na temat jednolitego frontu pisze: „Nie ulega wątpliwości, że podobnie jak idea jednolitego frontu robotniczego dyktowana jest koniecznością spotęgowania obrony przed coraz silniejszymi atakami faszyzmu na rozbite siły proletariatu — tak i myśl skomasowania lewicy literackiej dojrzała w obliczu najazdu klerkalno — nacjonalistycznego na szerokie masy odbiorców wszelkiego pisanego i żywego słowa. Konieczność jednolitego frontu jest bezsporna.” Jako pierwszy też zgłasza swój akces, a następnie nawiązuje współpracę z pismami jednolitofrontowymi, m. in. z „Lewarem”, „Obliczem Dnia”, „Sygnałami”, „Dziennikiem Popularnym”.

Stanowisko swoje podkreśla wielokrotnie — w poezji i publicystyce. Nazwisko Szymańskiego spotykamy pod antyfaszystowską „Deklaracją” pisarzy lewicowych, pod deklaracją „Przeciw faszyzmowi”, pod odezwą „Do robotników Łwowa”, w której grupa postępowych pisarzy wyraża solidarność z protestem mas pracujących przeciwko krwawym masakrom robotników lwowskich przez sanacyjną policję. Wiersze Szymańskiego znajdują się i w „Łamach”, jednolitości poświęconej walce o amnestię dla więźniów politycznych. Nazwisko poety jest wszędzie, gdzie jest walka z faszyzmem. 19 listopada 1933 roku w sali teatru „Ateneum” w Warszawie odbyła się akademii w osmą rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego. Na akademii odegrano trzęcia sprawę „Róż” (scena znechania się szpiegów nad Ostem i Czarowicem). Wtedy również został wygłoszony wiersz Szymańskiego „Stefano Żeromski”. Jakże ostro brzmiał wówczas ten podwójny protest przeciwko katowniom Krynicy i Łucka!

2

W latach poetyckiego startu Szymańskiego zaczyna się kształtować nurt rewolucyjny literatury dwudziestolecia. Do roku 1929 — roku początków twórczości Szymańskiego — Broniewski jest już autorem trzech tomików poezji, w tym skonfiskowanego „Komuny Paryskiej”. Równolegle z Szymańskim rozpoczynają swą twórczość: Wasilewska, Kruczkowski, Kowalski, Wygodzki, Pasternak, Dobrowolski, Sienkiewicz. Ta literatura staje się orężem walki ideologicznej proletariatu, w najlepszych swych osiągnięciach jest artystycznym równoważnikiem ideologii KPP w walce politycznej i tej literaturze — niezależnie od takich czy innych pomyłek — bliski będzie od początków swej twórczości Szymański.

Credo poetyckie, wielokrotnie formułowane, wskazuje na głębokie rozumienie przez poetę zadań poezji proletariackiej. „Słowo żywe i pisane, odczyt, inscenizacja, śpiew — wszystko na front!” — nawołuje w artykule „O kulturze robotniczej, kapitalistycznej i socjalistycznej”. Świadomy swej odpowiedzialnej roli poety robotniczego, roli ideowego przewodnika współtowarzyszy walki, napisze Szymański w wierszu „Raport”:

Zapomniałem jak sen pachnie ciżną, nie pamiętam już słów spokojnych. Chrypie wberbel prostym towarzyszom, szeregowcom klasowej wojny

...Serce dzwoni rytmem moich wierszy nie dla zysku, ani dla sławy, byłem wam zapłonęła w piersi moja miłość i moja nienawiść.

Ta świadoma, gorąca nienawiść do ustroju wyzysku i grabieży dyktuje poecie najgorętsze strofy, tak często kreślone cenzorskimi otórkami. Od najwcześniejszych wierszy twórczość Szymańskiego staje pod znakiem konfiskaty. Pierwszy tomik „20 milionów”, wydany przez Spółdzielnię Wydawniczą Młodzieży Socjalistycznej w r. 1932, pada ofiarą cenzury. Wiele wierszy do dziś świeci białymi plamami. Z tych niektóre tylko udało się odtworzyć w całości na podstawie szczątków rękopisów, czy też archiwalnych wycinków z pierwodruku, zachowanych w teczkach poety.

Zdecydowana postawa ideowa i jawne opozycyjne stosunek do oficjalnej polityki sprzedawczykowskiej góry PPS — partii, w której szeregi zabłąkał się poeta szukając, jak tytuł innych, prawdziwego frontu walki o wyzwolenie społeczne — postawiły przed następnym tomikiem trudności dodatkowe. Zabrakło już na nim nadruku socjalistycznego wydawnictwa. „Do mieszkańców Marsa” (1934) wydał poeta prawie wyłącznie własnymi siłami, wspomagany przez przyjaciół.

Główny ton poezji Szymańskiego nadają wiersze o tematyce społecznej. Wśród problemów społecznych epoki niewiele jest chyba takich, których nie odnotowałoby pióro poety. Życie samo otwiera mu oczy na metody kapitalistycznego wyzysku, dyktaturę „Lewiatanów” i Radziwiłłów, na nędzę mas i bezrobocie. Mówią o tym same tytuły tytuły wierszy: „Z głodu i chłodu”, „Lokaut”, „Redukcja”. Poeta piętnuje ustrój wyzysku i krzywdy przemawiając w imieniu wyzyski-

wanych i krzywdzonych. Dlatego głos jego nabrzmiewa taką siłą nienawiści, gdy pisze:

Niedaleka już wasza droga. Wciąż bliżej, bliżej grobu, już pęka chwila się w rogiach, gmach waszej mocy i władzy. W agonii chwylacie za noże za bat, kładany i obuch — nic już wam nie pomoże, nie już wam nie poradzi

Nie będzie takiej potęgi, co s'awi tamę milionom, którym za wieczną niedolę płacono s'liną i batem. Zażąda wkrótce rachunku krew, co zakwita czerwono na bruku miast niezłaznym, skonfiskowanym plakatem. (Marsz żałobny)

Ocena współczesności z pozycji mas ludowych prowadzi poetę do przeświadczenia o nieuniknionym upadku kapitalizmu, o konieczności rewolucji, która przysię musi i przyjdzie, przyniesiona przez miliony. Dlatego poeta nie ogranicza się do krytyki, do negacji. Dlatego pisze wiersze — mobilizację, wiersze-manifesty. Dlatego nasycił swoją poezję głębokim optymizmem i wiarą w lepsze jutro:

Przyjdź, nasze nowe życie! Ruinom, tby utraci! Ku słońcu cię wydzignę naszych ramiom gestem. Niech piorunami strzeli na zew jasnym jutrom s' o w o, dziś okrzyk bólu jutro pleść zwycięstwa! (Wrogom)

Mimo że w poezji swojej nie dochodzi Szymański do tej głębi przejęcia lirycznego, do tej klasy realizmu, co Broniewski — wiersze jego wzruszają, a obraz świata, przedstawiony w utworach Szymańskiego, posiada walor prawdy życiowej i siłę poznawczą, jaka cechuje każdy prawdziwie realistyczny utwór.

Droga rozwoju poety w okresie do roku 1936 wiedzie poprzez stop-

niowe odrzucanie pesymizmu wielu wczesnych wierszy („Atak nocny”, „Z głodu i chłodu”, „Lokaut” i in.) do najbardziej bojowych wierszy lat formowania się jednolitego frontu; od poszukiwań środków wyrazu w zle rozumianej rewolucyjności poezji (próby zrywania z tradycją poetycką, nawarstwienia ekspresjonistycznej metaforyki, pretensjonalności układu graficznego) — do wierszy pełnych głębi obrazu i ekspresji nawiązujących do młodej lewicy istniejącej tradycji literatury rewolucyjnej. Poeta nie czytał wierszy swoich na wzór burżuazyjnych estetyków: „nieuczony wygram marsz” — pisał o swojej poezji. Niejednokrotnie też przemawia tonem wiecowego mówcy, pełnym siły — ale czasem i wytartego frazesu. Ta dynamika wiersza, predysponująca go do recytacji wobec dużego audytorium, przyczyniła się w walnie do popularności poezji Szymańskiego. Frazes skazał na zapomnienie wiele wierszy, które aktualnie pełniły swoją funkcję społeczną. Niekiedy też nawiązywał poetą do samorodnej, „chrypiącej werbel” poezji robotniczej, dając chropawę w formie, lecz głęboko przemawiającą w treści piosenki i „ballady”.

Wśród wierszy Szymańskiego wiele jest niedopracowanych, pisanych z widocznym pośpiechem: od roku 1936 Szymański prawie wyłącznie utrzymywał się z pracy piosarskiej. Pisał niezwykle dużo. Spod pióra jego wyszło ponad trzyście pięćdziesiąt wierszy i satyr, nie licząc niezwykle obfitej, bodaj czy nie przerażającej tej cyfry, twórczości dla dzieci: liczne fraszki, inscenizacje i ułamki sztuk scenicznych; do dziś śpiewane piosenki. (Mało kto zdaje sobie sprawę, że autorem słów popularnej pieśni młodzieżowej, hymnu Związku Walki Młodych: „Zdobyczym krokiem” jest

właśnie Szymański...). Pisał recenzje i artykuły polityczne — społeczne i krytyczno — literackie, a także rozprawy o kulturze proletariackiej. Był współautorem powieści i autorem nowel, a nadto doskonałym tłumaczem (z niemieckiego, hiszpańskiego, łaciny). Wśród tłumaczeń jego czołowe miejsce zajmuje pierwszy polski pełny przekład wierszem lukrecjusowego poematu „De rerum natura”.

Po latach najpłodniejszych 1935-1937, lata następne przyniosły znacznie mniej nowych wierszy. Być może, wiąże się to z pewnym osłabieniem nateżenia walki rewolucyjnej w tym okresie: „na skutek nieustępliwego stanowiska prawicowych wodzów PPS i Stronnictwa Ludowego — mimo poważnej opozycji w dołach — nie doszło do utworzenia ani jednolitego frontu, ani też frontu ludowego w skali ogólnokrajowej”. W roku 1938 zostaje rozwiązana KPP. Tymczasem walka w szeregach robotniczych była dla Szymańskiego dźwięnią jego poetyckiej działalności, jej celem i natchnieniem. Toteż po „Słońcu na szynach” (1937) wydał poeta jeden tylko tomik: „Piosenki robotnicze” (1938), a i to obejmujące przeważnie tłumaczenia i utwory dawniejsze. Na plan pierwszy twórczości Szymańskiego wysuwa się w tym okresie satyra, piosenka, twórczość dla dzieci. Nie rezygnuje jednak poeta z linii walki, prowadzonej przez tyle lat: kierunek ataku pozostaje ten sam. Świadczyć o tym może choćby „Peau ku czci gen. Franco”, jedna z najostrejszych satyr Szymańskiego (przedrukowana w „Odrodzeniu”, 1948).

Doceniając w pełni znaczenie Szymańskiego w literaturze polskiej nie należy zapominać, że poza jego nie ma tak czystego, tak skryształowanego oblicza, jak

twórczość czołowych pisarzy rewolucyjnych dwudziestolecia. W trudnych latach walki, w latach sanacyjnego reżimu na pisarza, który nie miał bezpośredniego oparcia w partii komunistycznej, który obracał się w sferach przesiąkniętych ideologią PPS, czekało niebezpieczeństwo zbłądzenia z właściwej drogi; twórczej. W generalnej linii swej poezji Szymański niebezpieczeństwa tego uniknął: uratował go ścisły związek z masami proletariackimi. Nie znaczy to jednak, aby nie stawał fałszywych kroków, nie znaczy to, że uniknął pomyłek w ogóle. Na niektórych wierszach — szczególnie tych z późniejszego okresu, z ostatnich dwu lat przedwojennych — zaważyła nacjonalistyczna ideologia PPS. Próżno szukać w poezji Szymańskiego „Maginitogorska”. Tych zagadnień nie zgłębił poeta dostatecznie. W rewolucyjny nurt literatury włącza się o tyle, o ile jest konsekwentnym, bezkompromisowym w swej pasji demaskatorskiej oskarżycielem gnijącego ustroju; o tyle, o ile głębokie jest jego przekonanie o nieuniknionym upadku kapitalizmu i zwycięstwie rewolucji, jego rewolucyjny optymizm, wiara, że chwila wyzwolenia nadejdzie; o tyle, o ile walczył o nowy, socjalistyczny kształt literatury polskiej. I o tyle właśnie

...wyrasta na żniwo ciężki postaw czerwony rozśpiewany ogrodem. hojnie krwią użyzłomym. (Czerwone i czarne)

Pośmiertne odznaczenie poety Krzyżem Grunwaldu II klasy jest najpełniejszą oceną rewolucyjnych treści poezji i życia Edwarda Szymańskiego.

Roman Loth

* T. Daniszeński. W książce: H. Istoria Polski 1864 — 1945, W-wa, s. 413.

AUGUST GRODZICKI

Projekt z dziedziny ułudy

„Młodość i zapal” — jak sam twierdził — podyktowały Andrzejowi Wydrzyńskiemu wyrażoną wraz z zachętą do dyskusji w artykule „O następny krok” w nr. 3 „Nowej Kultury” propozycję utworzenia w Polsce wielkiego o teatru. Takiego, „który pracowałby konsekwentnie nad nowymi — metodami reżyserii, stylem gry aktorskiej, wytworzeniem jak najbardziej zwięzłego kolektywu pogłębiającego systematycznie swoją wiedzę i swe umiejętności i ożywionego jedną wspólną ideą: artystyczną i polityczną”. Teatr ten według marzeń autora artykułu miałby walczyć uparcie przede wszystkim o polski repertuar współczesny, o swoją samodzielność i odrębność artystyczną.

Program — ani słowa — piękny. Mniej więcej taki, jaki stawiamy w Polsce Ludowej od początku każdego teatrowi z osobną i wszystkim razem. Ale Wydrzyński, o którego „młodość i zapal” nie ma powodu ani przez chwilę wątpić, jest niecierpliwy. Chciałby mieć już jak najprędzej taki jeden wzorcowy teatr, taki polski MCHAT. Przedstawia więc Ministrowi Kultury i Sztuki projekt do rozpatrzenia i „konieczności! — pomyślnego załatwienia”. Ma już lokal: Pałac Kultury i Nauki (z tym łączy się nawet piękna symbolika), trzeba jeszcze „tylko” kierownika artystycznego, a reszta da się ułożyć.

Jak wiadomo „zapal tworzy cudzy”, ale tak bywa „w rajskiej dziedzinie ułudy”. W zetknięciu jednak z konkretną rzeczywistością opadały różne „nadzieje złote malowidła”. Niestety artykuł Wydrzyńskiego w każdym niemal punkcie zdradza brak poczucia rzeczywistości i znajomości samego zagadnienia.

Wydrzyński ma gotową receptę na powstanie wielkiego, oryginalnego teatru. Bierze się lokal, kierownika artystycznego, ludzi dobrej woli z całej Polski i sprawa załatwiona. Trzeba tylko zarządzenia Ministra Kultury i Sztuki. W ten sposób jednak w dotychczasowej hi-

storii teatru całego świata żaden twórczy teatr się jeszcze nie narodził. Nie załatwił tu wszystkiego ustrój, który istotnie daje możliwości — jak nigdy przedtem — stworzenia wielkiego teatru, ale tylko możliwości. Nie ma się też co powoływać na MCHAT. Powstał on akurat w innym ustroju, przez dziesiątki lat walczył o stworzenie własnego oblicza wśród wielu kłesk i sukcesów, oblicze to zdobył dzięki wielkim indywidualnościom swych twórców i kierowników i zapalałowi całego zespołu. Po rewolucji nie od razu wrócił w nowe czasy, ale znalazł troskliwą opiekę władzy radzieckiej.

I tu właśnie była głęboka mądrość tej władzy, że otoczyła ona troskliwą opieką już istniejący teatr, że pomogła mu w rozwoju i przełamaniu złych naleciałości, że zapewniła mu ciągłość rozwoju także wtedy, kiedy zabrakło Stanisławskiego i Niemirowskiego-Danzenki. W tym właśnie ukazała się — w zakresie spraw teatralnych — wyższość ustroju radzieckiego nad ustrojem burżuazyjnych. Tam było inaczej. Wymyślił np. Francję. Istniały tam wybitne, o własnym obliczu teatru Dullina, Jouveta, Baty, Pittoja, które — jeżeli przedtem nie rozbili się o trudności wszelkiego rodzaju — to rozspływały się z chwilą śmierci ich twórców.

Związek Radziecki umiał w sposób znakomity uchronić od zagłady wszystko to, co było wartościowe w rosyjskiej tradycji teatralnej, przeciwstawił się wszelkim lewackim próbom tworzenia jakiegoś nowego teatru „od podstaw”. Widać to nie tylko na przykładzie MCHAT-u, ale i w innych teatrach, np. w moskiewskim Teatrze Małym, mającym tak wspaniałą wiekową tradycję, że leningradzkiemu dawnym Teatrze Aleksandryjskim, czy w Teatrze Wachtangowa, którego uczniowie prowadzą dalej — wprawdzie inaczej, ale przecież w tym samym zasadniczym kierunku — dzieło swego mistrza. A poza tym dążono, aby każdy teatr miał

swoje własne oblicze artystyczne i jeżeli ta różność się zacierała, dawano wyraz zaniepokojeniu z tego powodu (vide: ostatnia dyskusja o dramaturgii).

Jeżeli przypominam tu te dość znane sprawy, to dlatego aby podkreślić, że także w Związku Radzieckim wielkie, najbardziej twórcze teatry nie powstawały drogą dekretoowania, ale drogą kontynuowania i wzbogacania istniejących już ośrodków, drogą pielęgnowania tradycji. Podobna droga może też prowadzić do wielkiego, polskiego teatru przyszłości.

Wydrzyński mówi o tej tradycji teatru polskiego, wydobywając z niej nurt (bez tego słowa nie może się już dziś obejść żadna dyskusja literacka) postępowy. Darujmy mu, że mówiąc o tym nurcie nie wspominał wprawdzie o Lucynie Kotarbińskiej, ale utopił w nim aktorski kunszt warszawskich „Rozmaitości”. Darujmy mu nawet taki zwrot jak ten, że „nasza historia przegapiła” (podkreślenie A. G.) moment najbardziej odpowiedni dla polskiej sceny, nie poparał twórczości dramatopisarskiej wielkich romantyków. To nie nasza historia „przegapiła”, ale sprawił to ucisk narodowy i społeczny w długim okresie zaborczym. Cóż jednak z tej tradycji Wydrzyński daje jako wzorzec dla swego wymarzonego przyszłego teatru? Bierze z niej tych, którzy „marzyli o teatrze, który byłby dla ludu niezbędny”. I w jednym worku miesza Schillera z Szymanem, Osterwę z Jaraczem w przekonaniu, że z tego powstanie jakaś godna zalecenia mikstura.

Jeżeli mówimy o naszym dawnym postępowym teatrze, to mówmy nie o jego „nurcie”, ale o jego „nurkach”. Wśród nich są i takie, do których nawiązywać dziś nie mamy powodu, o czym zresztą Wydrzyński wspomina. Ale wśród tych, które i dziś jeszcze jakimś strumieniem krążą w naszym teatrze, są dwa szczególnie cenne. Nie powinniśmy się ich zgubić. Można by je uznać za odpowiedniki — z zachowaniem wszelkich proporcji i odmienności — tradycji Teatru Małego i MCHAT-u. Pierwszy — to tradycja realistycznej gry wielkich aktorów warszawskich i krakowskich drugiej połowy XIX i początku XX wieku. Coś z tej tradycji utrwalilo się w najlepszych osiągnięciach Teatru Polskiego w okresie międzywojennym. Drugi nurt — to tradycja „Reduty”, Osterwy, Wysokiej.

To nie są jakieś tradycje abstrakcyjne, które by się poznawało z książkowych opisów i które by mieli realizować głównie młodzi — jak chce Wydrzyński. To są żywi ludzie — aktorzy, reżyserzy, działający w już istniejących teatrach. Trzeba im stworzyć odpowiedni klimat i warunki, które by pozwalały na dalsze rozwijanie tych linii i które rozdziłyby nowe indywidualności nie będzie nowego wielkiego teatru — jak nie będzie go zresztą bez zwartej pracy zespołowej — choćby był nań lokal i najpiękniejsze „dobre chęci”.

Jerzy Grygolonas

Romantyczność

(Dokończenie ze str. 5)

uporczywie, nieczym turysta znegony do miasta swego dzieciństwa, jak psycholog czytający w twarzach ludzi księgę dni dawnych i nowych, przewracający jej karty, zapisane śmiercią, bólem, troskami i marzeniem, radością, dosytem owoców, który z wyrzeczem dojrzał. Potem wracalem do kochanków, narysowanych ręką Malgosi. Wpatrywałem się w nieudolne linie obrazka. Jakże mogłem tego od razu nie zauważyć! Zaiste, fantazja dziewczyny była niepokorniona. Bowiem mężczyzna stojącym na praskim brzegu byłem ja, a przytuloną do mnie dziewczyną — panna Malgorkatka.

Czerwone słońce rozlało promienie na białą dolinę, a ja ciągle drzemałem w fotelu, uśmierznięty, uprowadzony przez dojrzałość pięknego

czasu. Nie dostrzegłem powrotu nardziarzy, nie słyszałem, że stara kucharka nakrywa do kolacji. Dopiero powiew zimnego powietrza i gwar wpadających do hallu turystów, zwrócił mi rzeczywistość. Ale było już za późno. Twarz Malgosi szczybił, niż mogłem przewidzieć wyrosła obok weneckiego okna. Porwała blok z rysunkami. Zaogniona od wiatru, mrozu i oburzenia, zawstydzila mnie:

— Jak pan śmie! Jak pan śmie krasie tajemnice kobiety!

Powiedziała to tak poważnie, że znów niechcący spłoszyłem ją śmiechem. A jednak Malgosi miała rację. Za lat kilka, kiedy miało upodobać się do jej marzeń, dziewczyna będzie kobietą.

Nie mówię tu już o innych sprawach z artykułu Wydrzyńskiego, należących do „dziedziny ułudy”. Np. sprawa skompletowania zespołu. Wydrzyński myśli już o nazwie projektowanego przez siebie teatru, o pierwszych słowach jego ślękiej kroniki, ale kwestię zespołu uważa za szczegół, którym na razie nie warto się zajmować. Albowiem: „Nie trzeba w tym celu robić żadnego z istniejących teatrów! Są inne i nawet łatwiejsze możliwości, jakie należy wykorzystać przy kompletowaniu zespołu”. Ponieważ nie przypuszczam, by autor chciał zespół ten tworzyć z młodych absolwentów szkół teatralnych — wypada tu liczyć chyba tylko na cuda. Bez cudów zaś takie kompletowanie zespołu musiałoby się odbyć „po trupach” już istniejących i już — czy też nareszcie — zaczynających się stabilizować zespołów.

Wydrzyński na końcu swego artykułu pytał, czy ma sens jego projekt. Odpowiadam: Nie, nie ma sensu.

August Grodzicki

Ukazała się nowa powieść historyczna

Jan Brzoza

DZIEWIĄTY BATALION



Stron 290

zł 14.15

WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY
NARODOWEJ

K-3139-1

„Domek z kart“

Był taki szlagier, dość popularny zaraz po wojnie. Nazywał się „Domek z kart” a jego pierwsza strofka brzmiała następująco:

„Mój domek z kart
Wybudowany tak na żart
Niewiele był dla innych wart
Lecz nadzieją był mój...”

Możemy się wzruszać głęboką bezinteresownością bohatera tej piosenki, ale trudno podzielić jego stanowisko, szczególnie, jeśli się jest krytykiem. „Domek z kart”, który przeniósł z teatru do filmu reżyser Erwin Axer musi niestety podlegać ocenie tych „innych”.

Pierwszą sprawą, na którą należy zwrócić uwagę, jest zrzeczność Axera, który budował tak kruchą — sama nazwa przecież jest synonimem nietrwałości — przeniósł z jednego miejsca (teatr) na drugie (film) nie naruszając w niej prawie nic, nie dopuszczając do poważniejszego przemieszczenia się jednej chociażby karty. Wszystko jak było, wszystko na swoim miejscu, a niektóre nawet sceny aż na dwóch miejscach, jak np. scena rozmowy na werandzie z II aktu sztuki, która w teatrze rozgrywała się wyłącznie na werandzie, w filmie zaś i na werandzie i w hallu. Tej zmiany miejsca, niczym chyba nie uzasadnionej, widzę zapewne nie zawsze nawet dostrzega, a i krytyk nie miałby powodu się nad nią zastanawiać, gdyby nie była ona prawie jedyną zmianą, jaka nastąpiła w drodze z teatru do filmu (sumiennie koledzy z tygodnika „Film” zapewne wynajdą jeszcze szereg innych, drobnych przesunięć, tak jak znaleźli szereg argumentów dla udowodnienia mi, że nie zauważyłem kilku podobnego kalibru zmian w ekranizacji „Rewizora”, aż pewien jestem, że widzę nie jest tak skrupulatny i z zasadniczą sprawą się zgodzi — „Domek z kart” nie zmienił się pod względem budowy).

Skoro tak, staje pytanie: czy „Domek z kart” było za ciasno na deskach sceny? Nie, na pewno nie było. Sztuka Zegadłowicza nie należy do tych, które w teatrze się duszą, które potrzebują, domagają się więcej powietrza, niż daje teatralny wentylator. Jest to sztuka pomimo swoich znanych błędów konstrukcyjnych w zasadniczej formie seńeczna. I pod tym względem film miał niewiele do roboty, a zabieg sztucznego oddychania okazał się niepotrzebny, i nie można mieć żalu czy pretensji, że go nie stosowano. Jest natomiast sprawa inna. Sprawa strawności „Domeku z kart” na ekranie.

Każdemu z nas zdarzył się zapewne nieraz wypadek, że otrzymał w prezencie od kogoś ogromne pudło, w tym pudle mniejsze pudełko, w nim dużo, dużo papieru, a w papierze jakiś niewielki drobiazg. Filmowy „Domek z kart” przypomina mi miejscami ten właśnie uroczy żarcik towarzyski. Operator stara się jeździć z kamerą, w scenie balu wprowadza efektowny najazd z góry, pcha papier gdzie może, ale upominek pozostaje sobą — kameralną sztuką sceniczną. Nie zrobił z tego filmu. Pozostał teatr. Czy to źle? Nie o to chodzi. W Związku Radzieckim robiło się, jak wiadomo, wiele ekranizacji sztuk teatralnych bez aspiracji do ufilmowania. Zbyt duża ilość tych tzw. spektakli zaczęła być niepokojąca i kinematografia radziecka wycofuje się już z tego kursu. U nas, gdzie nie było dotychczas ekranizacji, „Domek z kart” przypomina lekką, „przechodzącą” grupę, i nie jest chorobą, a może nawet działa uodporniająco. Poza tym popularyzuje sztukę, pokazuje ją widzom, którzy jej dotychczas nie widzieli i nigdy by nie zobaczyli. Ale przecież nie tylko po prostu „popularyzuje”. Sądza ją chcąc nie chcąc na wielkiego rumaka — ustokrotnia. I otóż to właśnie budzi moje wątpliwości.

Jak wiadomo, przy naborze rekrutów do kawalerii obowiązują szczególne przepisy. Filiżanowy rekrutik świetnie wygląda w mundurze szwoleżera, ale rumak dragoniński gubi go już przy pierwszym galopie. Trzeba tam bowiem chłopów jak dęby — dragonów. Mam wątpliwości, co do dragonińskich kwalifikacji „Domeku z kart”. Sztuka — jak się rzekło — kameralna. Ta cecha sztuki, uzasadniona w teatrze, staje się żąłą w filmie. Nie działa tu konwencja sceny, przy której pewne rzeczy mogą się nie mieścić, a pod innymi mogą się zalać deski.

Krzysztof T. Toeplitz

U NAS W AMERYCE

Marny fracht ludzki z prywatnego raju, z krainy Forda do nas przysyłają. Grecja go pełna, Paryż już zalany waszym zjednoczonym bardzo średnim stanem. Hałaśliwi turyści, chwając się „okolo, duchowo kładą nogi na blat stołu, wszyscy ich mają już powyżej uszu, w co drugim ich zżółtu te słowa być muszą: „U nas w Ameryce...”

U was w Ameryce? — Prawa są dość tanie dla tych co mają forsy. Są dobrzy i dranie, są i tacy i tacy, i Lewis, i Mencken, i dolar swym lokajom w mózg zanurza rękę. U was w Ameryce są republikanie, ferujący wyroki krwawi purytanie, macie siłę i młodość, srebrników mennicę, lecz świat nie szuka swego A, B i C u was w Ameryce.

U nas w Europie nie są białogłowy damulkami bez duszy z budy wystawowej. U nas w Europie czarna skóra nie jest trądem, w specjalnych wagonach skazanym na przejazd. U nas może który nie być przy monecie a jednak, a jednak chodzić po tym świecie i stanowić normalne społeczeństwa kółko i wcale nie tęsknić za niedzielą szkolną, u — nie zawsze stoi przed samym ołtarzem: bezduszną przeciętność co się we łzach maże, jak u was w Ameryce... Lecz o tym wiedzą u nas jedynie szlachetnie dokładnie. Reszta z tego cyrku nie a nie kompletnie nie pojmie. I pochlebów z niuspersów słucha którzy jej wmawiają, że ma „first class” ducha.

Nie słuchaj ich, robotniku, niech tam maszerują: Próżność, co kroku dotrzymuje burżujom, paszporty z wizami, chorągwie, parady, te jakże śmieszne z cementu fasady. Bo prawdziwa granica między złotem i potem biegnie przez wszystkie ludy, one wiedzą o tym i u was w Ameryce i u nas w Europie...

Przełożył Stanisław Jerzy Lec

DZIEWCZYNA Z SAMOA

Jestem dziewczyną z Samoa.

Chodziliśmy ubrane w łańcuchy z kamieni i kości, Dzikię zwierzęta z lasu dziwili się naszej piękności. Byliśmy wolne jak one. Potem na ziemię naszą przybyli z dalekich stron biali, Zabrali nam naszych bogów i ziemię także zabrali, A coś dostaliśmy w zamian?



rys. Maja Berezowska

Od misjonarzy przesady oraz paclerzy bez liku, Od kupców whisky, naczynia i trochę pstrych perkalików Zżyliśmy jakoś bez tego. Kulturę — w metodach mordu pokazać nam potrafili, Mężczyźni pośród podarków dali nam także syfilla — Tyle dostaliśmy w zamian.

W głębi mych oczu wilgotnych przegląda się Matka — Natura Choć chód mój gibki krępuje spódnica cywilizacji. Czekajcie — jeszcze nie wasza. Aż kiedyś zwrócimy podarki z nawiązką dobrodziejom, O, biali proletariusze! Patrzymy na Was z nadzieją Z otchłani Czarnego Łądu.

Przełożył Antoni Marianowicz

BIEDNA ŻONA

Poeta, mąż twój, ten tłuszcioch z podbródkiem? Cóż wokół niego za śmieszna ekstaza! On donżuanem? On jest spokojniutkim grzecznym mieszcuchem — tak jak Bóg przykazał. Ja wiem, on pisze w swych cienkich tomikach ile to kobiet i jak je całuje, o włosach wonnych, jedwabnych tunikach, o pożądaniu, rozkoszy i ruin...

O drogie siostry, pisanie zostawcie, Nie przesyłajcie bezimiennych fiołków! To grubasowi pić przeszkadza kawie, po tym źle trawi i ciśnie go w dołku.

Tłuszcioch leniwy spalby w dzień i w nocy, to żarłok nawet na proszonych leniuchach. Wciąż rozdrażniony. I strasznie bulgoce pijąc swę wino, które sam rozcieńcza.

Widzę was, siostry, z niesytym serduszkim, z dnia na dzień dziksze — nie szalejcie dalej! Poeta, mąż twój? Tep grubasiek z brzuszkim? W książkach: I owszem.

Ale w życiu: wcale.

Przełożył Stanisław Jerzy Lec

KURT TUCHOLSKY

WIER SZE SATYRYCZNE

WOLNA GOSPODARKA

Z podatkami od dochodów fora!
Całe zaufanie dla dyrektora!
Opuśćcie rejonowe komisje!
Niech szef zastąpi od dziś je!
Niech żyje wolność! Ta nasza — handlowa!
Precz z klikami — napiszmy na liście!
No — wy nie.

My oczywiście.

Koniec z gruźlików leczeniem,
z rentami dla starców i ubezpieczeniem!
Wstyd, że was nie obleva rumieniec
od państwa biednego braci ostatni pieniąż!
Dość mamy już jednoci mas,
czas by się było rozejść raz!
Chcecie się zrzesać? Nie śmielibyście!
Wy nie.

My oczywiście.

Tworzymy od Rio po Eweresty
Kartele, koncerty, spółki i testy.
Stoimy u pieców hutniczych płomieni
wspólnotą interesów zjednoczeni.
My dyktujemy umowy i ceny.
Są ustawy ochronne? My je usuniemy!
Organizować sprawnie i sprężyćcie!
Wy nie.

My oczywiście.

To marksizm, ten cały wasz śpiew,

Na latarnię!

My władzę bierzemy po krocisku, bezkarnie.
Nikt nie przeszkadza. Z aprobatą
„socjaliści rządowi” patrzą na to.
Każdy z osobna też chce coś. Wróg, baczność!
Tak ekonomicznie zmienia Opatrzność.
Choćby wymyślić największą pretensję,
już pruski profesor uzasadni sens jej.
Fabryki duchem naszym karmi
ćma oficerów starej armii...
Ludzie Stahlhelmu i Hitlera bardy.

A wy ci z piwnic i ci z mansardy
nie widzicie tej całej roboty
czyje dochody — czyje siódme poty?

Choć wiatr przeciągły dmie w nasze chorągwie
dzień ów nadciągnie

kiedy robotnik powie uroczyscie:

„Wy nie,

My, my, my oczywiście!”

Przełożył Stanisław Jerzy Lec

ZAKUPY 1919

Co tu małemu kupić Michasiowi
Na Boże Narodzenie?
Pilkę? Koniką? Czy tort migdałowy?
A może drogie kamienie?
Czy może małą świeczkę lojową?
Bo tego nie ma jeszcze — daję słowo!

A może trąbkę, by cały dom słyszał?
Kanarka w klatce? Domino?
O czarno-biało-czerwonych klawiszach
Patriotyczne pianino?
A może obiektywne sąd wojenny?
Bo tego nie ma jeszcze Michaś dzielny.

Czy podarować mu nocnik na kółkach?
A może moratorium?
Tłusciutką świnkę, okrągłą jak bułka?
Dla lalek krematorium?
A może dygnitarza rozumnego?
Bo tego nie ma jeszcze — a dlaczego?

Ach, spekulanci! Babki i dziadkowie,
Kochane ciotki, wujowie, kuzynki!
Darujcie coś biednemu krewniakowi
Na przystrojenie choinki!
Tylko reakcji — nie — w żadnym razie!
Tę ma już, i to w nadmiarze!

Przełożył Leopold Lewin

ŚCIELCIE IM RÓŻE POD STOPY...

Subtelnie z nimi, są tak czuli,
że trwając ich popełniasz grzech.
Otulmy wonią ich. Paczuli.
Zważywszy moc ich słodkich cech.
Pies szczeknie Wasz? Niech im się lasi!
Całuj faszystów gdzie tylko da się!

Jeśli na swoich wleczach szczują,
„tak” — powiedz — „amen”, pochwal knut!
Wróg chce twej głowy — podaj mu ją,
gdy bije, Ty się grzecznie módl.
Gdyż bicie daje zysk ich kasie!
Całuj faszystów gdzie tylko da się!

Strzelają — mój ty Boże, niech tam,
czy życie twe najdroższym z żyć?
Toż to pacyfistyczna brechta!
Któż raz ofiarą nie chce być?
Śpiewaj im: Moje wy syneczki,
pralinki dawaj, cukiereczki...

Gdy pocujesz już hitlerowski nóż
w swym brzuchu, nie bron się głuportasie!
Całuj faszystów, całuj faszystów,
całuj faszystów gdzie tylko da się!

Przełożył Stanisław Jerzy Lec

Urodzony w 1890 roku poeta, satyryk i publicysta niemiecki Kurt Tucholsky zdażył jeszcze zaatakować we wcześniejszych swoich utworach jedną z kuzni pierwszej wojny imperialistycznej — wuhelminskie Niemcy.

Ale ten Tucholsky, który żyje w pamięci swego pokolenia — to przede wszystkim nieublagany przeciwnik obłudnej republiki weimarskiej. Widział w niej od jej zarania, jak przez mikroskop, wszystkie zła, które wykluły się w 1933 roku. Jego szybkostrzelne pióro atakowało co tygodnia z łanów „Weltbühne” obłudę tej „demokracji”, która osłaniała ofiarę żywej faszyzmu.

Pod pięcioma postaciami (używał poza nazwiskiem czterech pseudonimów: Peter Panter, Theobald Tiger, Ignaz Wróbel, Kasper Hauser) walił w jeden cel. Jego ziory: „Ucz się śmiać bez lezi!”, „Uśmiech Mony Lizy”, „Deutschland, Deutschland über alles!” i inne, są nie tylko dokumentem, ale żywą bronią.

Pisarz ten, którego utwory satyryczne są czasem aż nagie w swej ostrości bez najmniejszej mgiełki lirycznej, umiał się zdobyć na najsubtelniejsze liryki tej odcienia. Taką powieścią pełną słonecznego nasirou jest jego „Zamek w Gripsholm”. Obok tego zamku spoczął w bezkleszczym grudniu 1935 roku.

Niemiecka Republika Demokratyczna sięgająca jak Związek Radziecki i bratnie demokracje ludowe po spuściznę myśli postępowej, nie zapomniała o tym żołnierzu, walce z faszyzmem. Dzieło jego to ważne memento o chwili, kiedy z granicą dzielącą Niemcy podnosiła łeb pogrobowce swastyki, zrodzeni i podrastający pod czułą opieką dolara.

Tucholsky zdmiany chorobą i rozpacz na emigracji zwycięstwa nie doczekał. Ono co pisał jednak w swoim ostatnim liście do Arnolda Zweiga: „Popatrzcie na Lenina na emigracji! Stał i posu nęta aż do ostatnich granic jasności myśli”.

W Niemczech Zachodnich, ba, w całym kapitalistycznym świecie słowo poetyckie Kurta Tucholskyego ma dzisiaj znowu wartość naboju gotowego do strzału.

St. J. L.

PRACY DLA BEZROBOTNYCH

W dzień o pracę walczy i chleb,
zawsze po próżnicy.
Nocą kulak włóź pod łeb,
pośpisz na ulicy.
Pię chcesz — otwórz z wodą kran!
Suchy chleb? — więc spluń nań pan!
Wiatr przez dziury łydki potnie —

Bezrobotni.

Bezrobotni.

Cieężko tę bezczynność znieść,
fabryki zamknięte.
Z beznadziejności ściszasz pięść...
Strzeż się — gdy masz okrzyk wznieść —
salw przed parlamentem.
Dla książątek cierp i pość.
Świt. Na ławce zamarł gość.
A diagnoza? Tak! Istotnie!

Bezrobotni.

Bezrobotni.

Praca wróci.

Kjerat wasz
i barówka z męką.
Tylko mordę trzymać masz
albo śpiewać cienko.

Skargi ci nie pomogą.
Targi ci nie pomogą.
Ni spocząć błogo ani merdać nogą.
Proletariuszu, wiesz uderzyć w kogo!

Bić ich aż polecą wióry!
Bić do ostatniego ciury!
Bo gdy klasa zjednoczona
Cały świat jej nie pokona!
Wyście statku nowych zdarzeń
nieulekli marynarze.
Każdy dzień was wielokrotnie.
Bezimienni bezrobotni.

Przełożył Stanisław Jerzy Lec

ATELIER FILMOWE

Szum! Jupiter. Każdy zna swą rolę:
Wymokły hrabia weiska monokl w brew,
Dama w koronkach stoi na cokole,
Gruby reżyser ryczy: „Zle, psiarew!”

Na drugim planie trzysta girls się tłoczy,
Ogromne schody biegną pod sam dach,
Z niewinną miną mleko pije chłopczyk...
Sześć znów drze mordę. Gwiazda jest we łzach.

Podły spiskowiec gdzieś tam w ciemnym kącie
Bohaterowi — brrr — wbił w plecy nóż
A zły siostrzeniec napadł dobrą ciocię
I woda z węża sprawia zimny tusz.



Rys. Maja Berezowska

Sutener z dziwką chwilę przed tym stał tu. —
Lampiarz ma zwykle w nosie cały kram,
I żeby nadać głębię scenie gwałtu
Z flegmą włącza jedną z wielkich lamp.

Kiedy tak stoję pośród rozgardiaszu
Pośród uśmiechów, płaczu, gwizdów, klak —
Widzę przed sobą politykę naszą:
Bo wszyscy u nas swego nosa patrzą —
Spytasz o całość —

Niech ją trafi szlag!

Przełożył Andrzej Dołęgowski